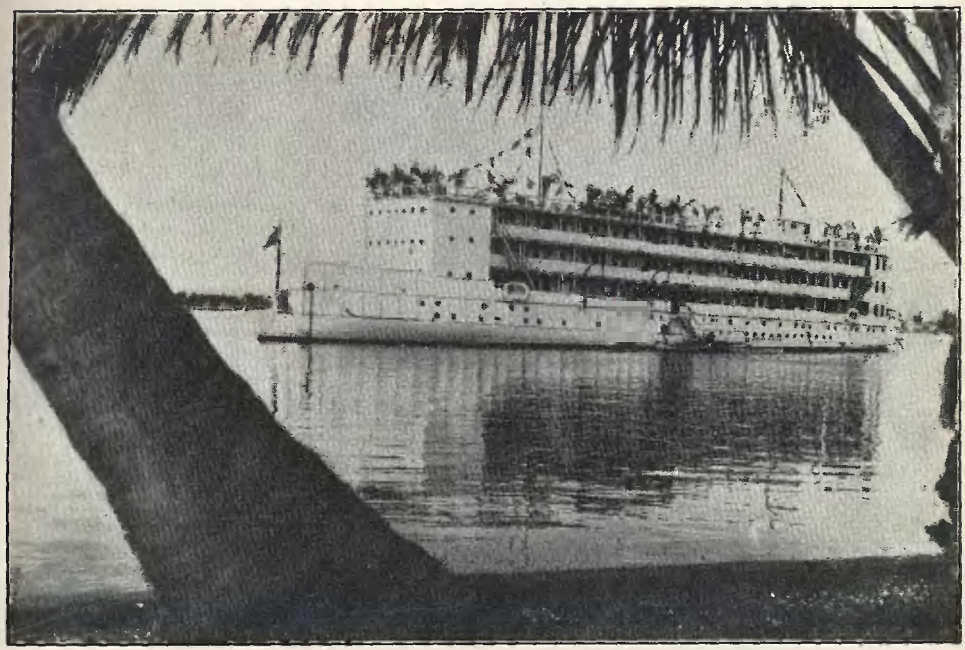

„Amfitrin" — pierwszy hotel pływający na wodach Missisipi.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

ZĘBY

Wszyscy wiedzą, jak szpecą nawet najładniejsze usteczka zczerniałe, żółte zęby. Aby usunąć tę niemiłą wadę, dość myć zęby szczoteczką, obficie umoczoną w proszku *Albol*, który ma własność nie tylko dezynfekować i oczyszczać zęby, ale je wybielać, tak, że nawet żółte i zczerniałe zęby, po kilku użyciach, nabierają śnieżnej białości. Przy stałem użyciu proszku *Albol* nawet palenie papierosów zębom nie szkodzi i zachowują one swoją nieskazitelną białość stale. Bardzo dobrze jest przy proszku *Albol* używać jednocześnie elixiru *Anidol*, który doskonale dezynfekuje całą jamę ustną.

Albol i Anidol nabywać można we wszystkich drogerjach i perfumerjach.

M-me ERCEDÈS.

Środki tu wymienione nabywać można we wszystkich pierwszorzędnych drogerjach i perfumerjach.

Skład główny: Warszawa, *Perfumerja Perfection*, Szpitalna 10.

Treść Numeru 35-go

	Str.
Feliks Lubierzyński:	
Odbudowa dworców kolejowych na Kresach (5 ilustracyj)	5—12
Jak leczą w Chinach (5 ilustracyj)	13—20
Uschnięte mangrowe (6 ilustracyj M. Walentynowicza)	21—40
M. Białęcki:	
Tajemniczy towarzysz Syrjusza	41—42
Dr. med. Kazimierz Prawdzic:	
O balsamowaniu zwłok (10 ilustracyj)	43—62
Wiosna na biegunie (1 ilustracja M. Walentynowicza)	63—64
Jan Kowalewski:	
Honolulu (7 ilustracyj)	65—78
Z. K.:	
Drobne wynalazki (4 ilustracje)	79—82
B. Szarlitt:	
Ucho świata (11 ilustracyj)	83—104
M. Białęcki:	
Czy księżyc jest ciałem martwem (2 ilustracje)	105—110
Z. K.:	
Jak była zbudowana arka Noego	111—112
Janina Stefańska:	
500-lecie odkrycia Floridy (5 ilustracyj)	113—126
Jan Starża-Dzierzbicki:	
Cesarze Indyj (6 ilustracyj)	127—142
Z. K.:	
Czy istnieje sygnalizacja radjowa wśród zwierząt	143—144
Historja bez tytułu (5 ilustracyj)	145—166
K. Mackiewicza	
Z teki humorysty	167—170
Odpowiedzi grafologa	171—172
Rozrywki umysłowe (5 ulustracyj)	173—188

Okładkę trójbarwną wykonał p. S. Ejsmond

Sprostowanie: Autorem noweli p. t. Kogut i księżniczka opublikowanej w N-rze 34 jest p. *Jan Wiktor*

Adres Redakcji i Administracji

„NA OKOŁO ŚWIATA"

Warszawa, Zgoda 12, tel. 122—14

Telefon ekspedycji 104-32

Redakcja przyjmuje interesantów codziennie od godz. 13 do 16

Administacja czynna od godz. 9 do 15

Prenumerata kwartalna wraz z przesyłką wynosi 6 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedyńczy 2 zł. 50 gr.

REDAKTOR: FERDYNAND GOETEL. WYDAWCY: GEBETHNER I WOLFF.

NAOKOŁO
ŚWIATA

Dworzec w Stołpcach *Proj. arch. H. Hryniewicz*

Sala jadalna na dworcu W Stołpcach

Odbudowa dworców kolejowych na Kresach

Gdy przejeżdżamy na kolejach naszych po wschodnich terenach Rzeczypospolitej i spojrzymy na stacje, które mijamy po drodze, to przedewszystkiem niezwykle miło i sympatycznie uderzy nas wygląd naszych nowozbudowanych dworców. A dzieje się to nietylko dlatego, że dworce te są nowe i wabią oko świeżością otynkowania. Przed wojną bowiem na miejscu tych dworców stały przeważnie gmachy znacznie okazalsze, niekiedy wprost błyszczące glazurową cegłą, a jednak przejeżdżaliśmy mimo nich obojętnie. Często nawet one nas wprost raziły, bo te kosztowne cegły i piernikowe ozdoby, te sztuczne zielone dachy jakoś wcale nie harmonizowały z otaczającym je krajobrazem i charakterem okolicznego, przeważnie drewnianego, lub na drewnianym stylu wzorowanego, budownictwa.

Wszystkie te dawne okazałe gmachy, które były jednocześnie jaskrawym wyrazem narzuconej temu krajowi obcej przemocy, zniknęły obecnie prawie doszczętnie, obrócone w zgliszcza i ruiny częściowo już w r. 1915 podczas odwrotu wojsk rosyjskich, a następnie do reszty podczas tragicznego odwrotu wojsk polskich z nad Berezyny i z pod Kijowa w r. 1920.

Spotkanie komisarza bolszewickiego z urzędnikiem polskiej policji na dworcu w Stołpcach

Stacja Jeziornica
projekt. arch. Rostworowski

Kiedy więc po zawarciu traktatu Ryskiego i przyłączeniu do polski Odrodzonej części ziem wschodnich dawnej Rrzeczypospolitej, przystąpiła wileńska dyrekcja kolejowa do wypełnienia niesłychanie trudnego zadania przywrócenia komunikacji na wyznaczonych jej obszernych terenach, obejmujących obecne cztery województwa: wileńskie, nowogródzkie, poleskie i białostockie, to jednocześnie zastanowić się musiała nad pytaniem, jaki zaprojektowanym do odbudowy dworcom i budynkom stacyjnym nadać styl i charakter. Chodziło przecież o to, ażeby wygląd zewnętrzny tych budowli odpowiadał zarazem zmienionym warunkom politycznym i pozostawał w harmonji z otaczającym te budowle pejzażem, a przytem był możliwie jak najłatwiejszym i najtańszym do urzeczywistnienia w znajdującym się poddostatkiem trwałym materjale budowlanym. I tutaj rzeczywiście architektom wileńskiej dyrekcji kolejowej p p. Tadeuszowi Rostworowskiemu i Hipolitowi Hryniewiczowi oraz kierownikowi działu budowlanego p. inż. Genello, poczytać należy za wielką i trwałą zasługę, że te budowle, które częściowo już powstały, a częściowo nadal są budowane, zaprojektowane zostały w stylu polskim, i że ten styl dworku polskiego, zrodzony w budownictwie drewnianem, a na krótko przed wojną jeszcze dość nieśmiało dalej rozwijany w budownictwie murowanem, znalazł przez nich tak doskonały wyraz i jaknajszersze zastosowanie w budownictwie kolejowem.

Założenie, z którego przytem wychodzili p.p. Rostworowski i Hryniewicz, jest nad-

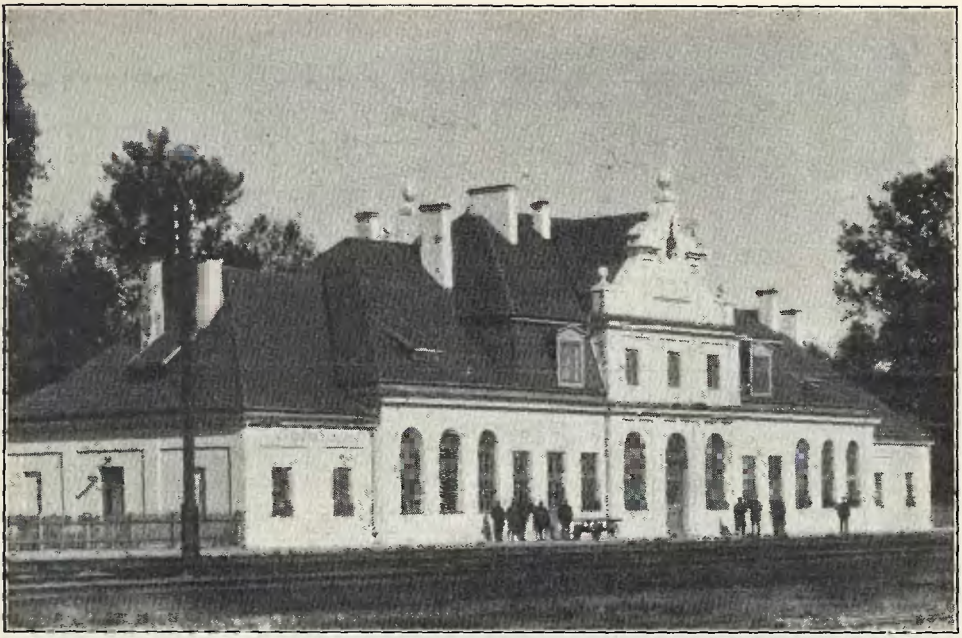

Dworzec Wołkowysk-Miasto *Proj. arch. H. Hryniewicz.*

Dworzec główny w Wołkowyskach *Proj. arch. H. Hryniewicz*

Dworzec w Słonimie *Proj. arch. Hryniewicz*

zwyczaj proste, gdyż — jak zaznacza p. Rostworowski w jednym ze swoich na ten temat wygłoszonych odczytów — „dworzec kolejowy to przecież nic innego. jak zasobny gościnny dwór obywatelski. Ta sama obszerna sień — poczekalnia, sala — jadalnia, kancelarja — ekspedycja, pokoje gościnne i. t. p. Jeżeli do tego dodamy kilka wesołych dworków z ganeczkami na filarach, magazyny, składy, kryte dachówką z okapami — jeżeli na straży postawimy wieżę ciśnień w rodzaju wież cechowych krakowskich lub wileńskich, to już całej tej miejscowości odrazu nadamy wyraz powracającej minionej tradycji".

I ta właśnie nić powracającej minionej tradycji, ujawniająca się w stylu nowozbudowanych dworców i budynków stacyjnych, to sharmonizowanie tych budowli z otaczającym je krajobrazem, z którym — zdaje się — organicznie zostały związane, i ta tkwiąca w niej swojskość przemawia do nas tak sympatycznie, napawa nas dumą i radością.

Dla przejeżdżających zaś po tych nowoodbudowanych linjach kolejowych podróżnych — tak obywateli polskich jak i cudzoziemców — jest ten styl i charakter nowoodbudowanych dworców kolejowych zarazem widocznym znakiem i symbolem, że Polska Odrodzona także przez swoją sztukę nawiązuje z tym krajem dawną, przerwaną przez stuletnią niewolę, łączność kulturalną i roztacza nad nim swoje władztwo i potęgę.

Nie na wszystkich stacjach jednak doznajemy tego samego uczucia. Spotykamy bowiem także budynki tylko tymczasowo i naprędce sklecone ze starych rumowisk. Widzimy jeszcze tę łataninę, która znowu jest naocznym symbolem tego, ile jeszcze w Polsce jest do odrobienia i ile nas jeszcze czeka pracy i wysików.

Od chwili rozpoczęcia odbudowy, t. j. od roku 1921, do chwili obecnej, całkowicie nowoodbudowano w obrębie wileńskiej dyrekcji kolejowej dworce i inne zabudowania na następujących stacjach: Żabinka, Kobryń, Skidel, Sokółka, Skrzybowce, Nowojelnia, Różanka, Mosty, Leśna, Oranczyca, Horodce, Drohiczyn, Bielsk - Podlaski. Juchnowicze, Bohdanów, Horodyszcze, Kosów, Rudziszki, Olkieniki, Knyszyn, Czarna-Wieś, Wołkowysk - Centralny, Słonim, Jeziornica, Wilej-

ka, Krzywicze, Budsław, Podbrodzie, Jaszuny, Bieniakonie, Bastuny, Orany, Druskieniki, Połoczany, Juraciszki, Wołkowysk - Miasto, Narewka, Roś, Świsłocz i Hajnówka, czyli razem 41 stacyj.

W roku bieżącym, wobec ogólnego braku gotówki, wileńska dyrekcja kolejowa przystępuje do odbudowy tylko jednego dworca w Pińsku, a poza tem będą wykończone znajdujące się już w trakcie odbudowy dworce: Brześć - Centralny i Czeremcha.

Warunki zawartej w lutym b. r. konwencji kolejowej z Rosją sowiecką i uruchomienia przez Polskę komunikacji nietylko osobowej, ale i towarowej, łączącej Wschód z Zachodem Europy, nakładają na Polskę obowiązek przebudowania stacji i prowizorycznie odbudowanego dworca w Stołpcach stosownie do potrzeb wzmożonego ruchu granicznego. Dworzec ten jednak wraz z komorą celną przebudowany będzie znowu tylko prowizorycznie. Tak samo przebudowane będą w roku bieżącym tylko prowizorycznie stacje graniczne Turmonty i Mikaszewicze (na Polesiu). Poza tem pozostaje w obrębie wileńskiej dyrekcji kolejowej do odbudowy jeszcze 40 dworców.

Ze sprawą odbudowy dworców jest poniekąd także związane ożywienie się ruchu budowlanego w najbliższej ich okolicy. A o ile te dworce budowane są w stylu polskim, to — jak zresztą często mamy sposobność zauważyć — przeważnie też w tym stylu są stawiane i inne nowopowstające prywatne zabudowania, a w końcu może i cała Polska przez swoją architekturę, stanowiącą poniekąd już tak wybitny, zewnętrzny wyraz kultury i upodobań narodu, ustali swój właściwy typ i charakter, który odrazu dla wszystkich będzie widoczny.

Wobec przenikających do nas obecnie z Zachodu i ze Wschodu prądów architektury modernistycznej, wychodzącej z założeń wyłącznie utylitarnych, z odrzuceniem wszelkiego zdobnictwa, wszelkich kolumn i ganeczków, a nawet wszelkich pochyłych dachów, — jest jednak pożądane, ażeby nasze budownictwo, — biorąc pod uwagę wszystkie ostatnie zdobycze techniczne w dziedzinie konstrukcji i materjałów, — zachowało i nadal ten styl polski, który już tak piękne i wysoce estetyczne wydaje rezultaty. W szczególności zaś jest to pożądane przy dalszej odbudowie dworców kolejowych. Musimy przecież mieć nadzieję, że Polska zdobędzie się niebawem na ten — przedewszystkiem organizacyjny — wysiłek, by wznieść także resztę pozostałych do odbudowy dworców i budynków stacyjnych.

Feliks Lubierzyński.

Jak leczą w Chinach

Jakkolwiek postęp Zachodu we wszystkich dziedzinach, a więc i w dziedzinie medycyny, dotarł już do miast i miasteczek chińskich, nie można powiedzieć, aby wszędzie już zdołał zapuścić głębokie korzenie. Przeważnie jest to raczej powierzchowna naleciałość, a nie wyraz istotnej potrzeby narodu. Tak więc, w krytycznych wypadkach, rodowity Chińczyk zawsze woli udać się do swego rodaka - lekarza, który ma więcej wspólnego ze znachorstwem, niż z medycyną. Lekarzy europejskich wzywa się do bogatych rodzin raczej przez snobizm, przyczem jednak, „dla pewności", zwykle radzą się ukradkiem starego, doświadczonego znachora.

W medycynie tego pokroju dużą rolę odgrywają wszelkiego rodzaju amulety i talizmany. Częstokroć sprytni szarlatani wyzyskują ciemnotę mas, które z większem zaufaniem garną się do domorosłych lekarzy, niż do wykształconych medyków. Nie można tego, oczywiście, uogólniać. Nie zawsze i nie wyłącznie na tem zasadza się umiejętność lekarzy chińskich, wśród których zdarzają się niejednokrotnie jednostki o głębokiej wiedzy, różniącej się wprawdzie od wiedzy przeciętnego europejskiego lekarza, niemniej jednak dającej często pożądane wyniki. Czerpią oni swą mądrość i technikę leczenia ze starych ksiąg i traktatów z XVII i XVIII wieku, nie uznając postępu w medycynie. Tak więc zarówno fizjologja, jak patologja i farmacja uznane są w Państwie Niebieskiem za nauki niewzruszone i nie ulegające zasadom postępu.

Jakże odbywa się wizyta u chorego w Chinach? Początek mało różni się od zwykłej europejskiej konsultacji. Lekarz chiński zaczyna od mierzenia pulsu i do tego przywiązuje największą bodaj wagę. Poza tem bada t. zw. „okna" organów, „otwartych nazewnątrz", t. j. uszu, ust, które zdradzają stan żołądka, języka, jako sprawdzianu

Szarlatan, sprzedający amulety i cudowne leki, sporządzone z różnych części ciała tygrysa

stanu żołądka i serca, oczu i łez — zwierciadła nietylko duszy, ale i wątroby, oddechu i t. d.

Postawiwszy djagnozę, medyk chiński przystępuje do pisania recepty, której kolor i gatunek papieru odgrywają rolę niepoślednią. „Arsenał" farmaceutyczny aptek chińskich, dobrze zresztą zaopatrzony, podzielony jest na trzy części: produkty roślinne, zwierzęce i mineralne. W małych, artystycznie wykonanych słoiczkach z porcelany można tam ujrzeć medykamenty roślinne w postaci korzeni, nasion, liści, kwiatów i owoców suszonych. Aptekarze Dalekiego Wschodu przyrządzają sami sole mineralne, ekstrakty różnego rodzaju, które trzymają w pięknych kryształowych naczyniach. Tygrys i różne inne zwierzęta dzikie

Golibroda, spełniający równocześnie funkcje lekarza-specjalisty

Dentysta chiński prezentuje nietylko wszystkie swe lekarstwa, ale i zęby wyrwane swym pacjentom

Golibroda, który jest jednocześnie specjalistą od chorób usznych

i domowe służą jako nieprzebrana kopalnia lekarstw dla uczonych medyków chińskich, lekarstw, o których nie śniło się nawet ich kolegom europejskim! Tak np. kaszel leczy się wysuszoną i utartą w proszek skórą ropuchy lub jaszczurki, od bólu oczu używa się wysuszonych świetlików pewnego gatunku — jako, że świetlik, sam błyszczący i rozsiewający światło wokoło, może przywrócić światło oczom!

Równocześnie z temi absurdalnemi nieraz metodami leczenia spotyka się i racjonalne, oparte na doświadczeniu i obserwacjach klinicznych. Tak więc, jeśli chodzi o opoterapję, to od niepamiętnych czasów Chiny trzymają prym w tej dziedzinie. Nie jest im również obca anestezja, którą osiągają, przynajmniej częściowo, za pomocą narkotyków — akonitu i pewnego gatunku grzybów.

Co się tyczy chirurgji, to ta gałęź medycyny w Państwie Niebieskiem prawie nie istnieje. T. zw. chirurgowie, a właściwie poprostu felczerzy chińscy, umieją otworzyć żyły, masować mięśnie, operować rozpalonem żelazem, ale też i niewiele więcej.

Wreszcie rozpowszechnione jest bardzo leczenie się u cyrulików, którzy są niejako uniwersalni. Poza umiejętnością golenia brody leczą oni wszelkie choroby skóry oraz uszu, w sposób dość oryginalny, np. za pomocą zastrzyków z krwi węgorza, lub też odwarem z pewnych traw, mającym leczyć głuchotę. Często udzielają także porad co do wszelkich chorób — tak np. na niedomagania wątrobiane zalecają żółć byka, lub wątrobę wieprza.

Widuje się również często na ulicach miast wędrownych dentystów, którzy, nie umiejąc leczyć chorych zębów, ograniczają się przeważnie do wyrywania ich, a często wprost do kaleczenia pacjenta. W Chinach zawód dentysty jest daleko popłatniejszy i bardziej rozpowszechniony, niż doktorski. Wymaga on dłuższych „studjów" i przygotowań, studja te wszelako odbywają się nie w instytucie dentystycznym, jakby to mógł przypuszczać mieszkaniec Europy Zachodniej. Dentysta chiński praktykuje poprostu u... stolarza! Zważywszy metody leczenia zębów w Chinach, nie powinno to wydawać się tak groteskowem. Rwanie zębów gołemi rękami, bez znieczulenia i jakichkolwiek instrumentów, wymaga pewnej wprawy, nic też dziwnego, że „praktykanci" przez dłuższy czas wprawiają się u stolarza w wydzieraniu haków, wbitych w drzewo. Wyrwanie zęba potem przychodzi takiemu dentyście już z łatwością. Krwotok po wyrwaniu zatrzymuje się za pomocą remedium, w

skład którego wchodzi próchno, pieprz turecki i ryż. Jeśli i to nie skutkuje, stosuje się środek barbarzyński, ale niezawodny, wkładając w ranę kilka ziarnek prochu, które się następnie podpala. Osiąga to zawsze skutek.

Dentyści wędrowni podwajają swój zarobek, sprzedając wyrwane zęby. Czasem sprzedaje się je jako takie, częściej jednak robi z nich amulety, sprytnie wmawiając przyjezdnym, cudzoziemcom i łatwowiernym kobietom własności cudotwórcze. Na lep ten idą również bogate, ale zabobonne wielkie damy z Tonkinu, Pekinu i Szanghaju. Dentyści-cyrulicy często są ich powiernikami i doradcami. Popularność ich rozciąga się na wszystkie warstwy i sfery społeczeństwa, od najniższych do najwyższych, i spotkać ich można zarówno w pięknych dzielnicach willi podmiejskich, jak też i w portowych zaułkach.

J. B.-r.

W sklepiku aptekarza chińskiego przechowuje się lekarstwa w artystycznie wykonanych naczyniach

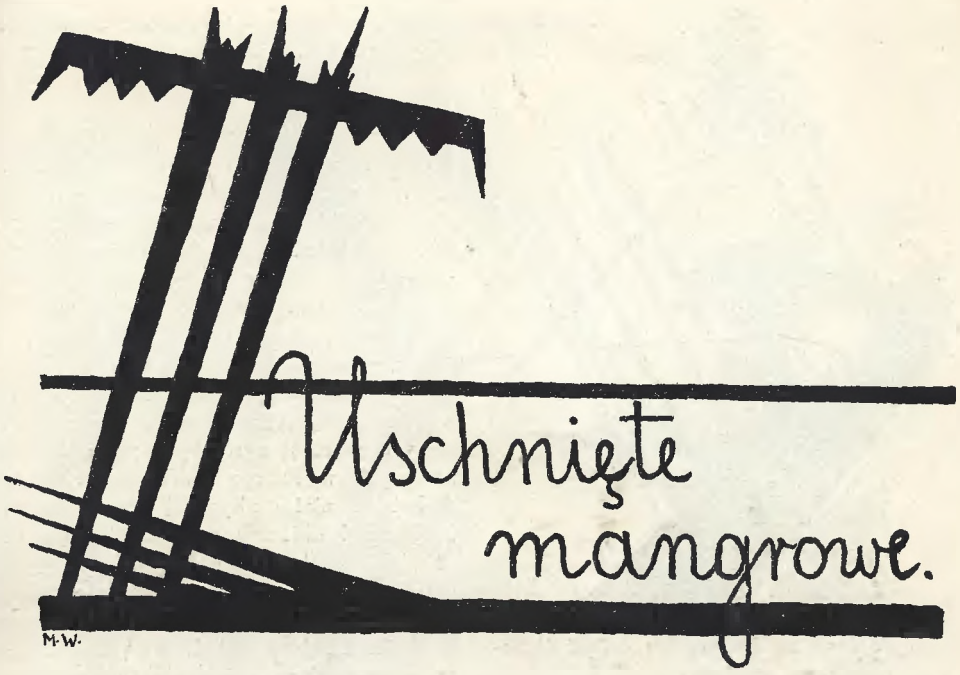

Godło: „Parana".

Ilustr. Walentynowicza

Na brazylijskiem wybrzeżu wiedzie mangrowiowe drzewo odwieczną walkę z morzem.

Mangrove nie śmiga w górę jak palma i nie potrząsa pióropuszem liści, zatkniętych na strzelającym w górę pniu.

Pokraczne, pokurczone z wysiłku, pochylone ku przodowi, ku żółto-brunatnym falom morskim, krok za krokiem zażarcie wydziera morzu zagrabiony ląd i wiedzie z nim nieubłaganą walkę o każdą piędź brunatnego szlamu.

Wlecze się na rękach i nogach, niby w śmiertelnem znużeniu, ale z zaciekłym uporem, podpierając się stupalczastemi ramionami. Przyczepione do gałęzi wiszą, kołysząc się na wietrze, setki grubych, różnej wielkości zielonych prętów. To strzały śmiercionośne, któremi mangrove zasypuje morze. Wbijają się one w płynne cielsko morza, a z nich rodzą się nowe mangrowiowe drzewa. Pokurczone, połamane ciężarem pracy, wlecze się mangrove i sadzi przed sobą nito szkółkę, nito żywopłot z młodych drzewek. Darmo pienią się żółtą, smrodliwą śliną brudne fale. Mangrove nie da się wyprzeć ze zdobytych pozycyj. Ono ma wielką misję! Ono idzie na świętą walkę na śmierć i życie, idzie zdobywać ląd na morzu.

Rozczapierzonemi pazurami przybyszowych korzeni wżera się w szlam nadbrzeżny i nietylko na krok nie ustąpi, ale nagle kroczy uparcie naprzód i rzuca garściami strzały i szczepi na ciele wroga potomstwo, które będzie dalej prowadzić walkę, gdy na tyłach stare drzewa, starcy sterani w walce, odsunięci od życiodajnej słonej wody usychać będą i konać. A walka ukończy się chyba wtedy, gdy afrykańskie mangrove powita na środku południowego Atlantyku żylastych braci z brazylijskich wybrzeży.

Może to walka o ląd-most, który morze pożarło?

*

Jak mangrove szło w morze, tak osadnik polski wżerał się w głąb dziewiczego, brazylijskiego lasu. Może nawet walka jego z przebujną roślinnością była ostrzejszą od walki drzewa z morzem. Drzewa, zarośla i ljany urągają siekierze i ogniowi. Ledwie kilka kroków postąpi naprzód karczujący, a już za nim na powalonych, na półzwęglo-

Trza było krok za krokiem przecinać ljanowe liny

nych pniach wystrzela zielsko i znowu trzeba zawracać i tępić je zakrzywionym nożem.

Po plantacjach, na miejscach z natury nadających się pod łatwą uprawę, rozsiadł się wygodnie plantator, Portugalczyk i Hiszpan. To już nie mangrove, nie uparty w karczowaniu osadnik polski, to delikatny kakaowiec, co unika palącego słońca i ostrych wiatrów.

Po miastach kłębią się roje spekulantów i handlarzy, jak roje dokuczliwych moskitów nad mangrowiowym lasem.

A tubylcy — to niby „zielsko" — herva matée, niemiła dla europejskich gardeł paragwajska herbata.

Jasno-brunatni, o ile szumiący im nad głowami parasol lasu chroni ich przed słońcem, lub o skórze koloru miedzi, jeśli ich puszcza nie ocienia, żyją w lasach, zdaleka od białych i mieszkańców, jak prawdziwa „matée", prawdziwe „zielsko". Albo też wchodzą między białych i okrywają ciało, ozdobione dotychczas tylko wstęgą małpich zębów i piórami papugi, czy sokoła, łachmanami europejskiej odzieży i są już oswojeni, oswojone leśne zwierzęta — Indjanos mansos.

Cywilizują się, jak cywilizuje się „matée", przeszczepiona z lasu na plantacje.

*

Dobrze zrobiła sroka, że poleciała ku słońcu i, wydziobawszy kawałek płonącego węgla z tarczy słonecznej, przyniosła go w dziobie ludziom, ocalałym po potopie. Słusznie ją za to sławią indyjskie legendy, bo cóżby Wojtek począł z karczowaniem lasu, gdyby nie ogień.

Od czasu, gdy Wojtek z Pietrkiem przybyli na karczowisko, rozpaliła się w ich duszach śmiertelna nienawiść do lasu. Nawet bowiem ogień chwytał się z trudem leśnych gąszczy, ogromnych pni i krzaków, zaszytych w zaporę niedoprzebycia przez djabelskie nici grubych ljanów. Trza było krok za krokiem przecinać ljanowe liny, aż siekiera skwierczała, a potem co tchu umykać, bo nuż stare, spróchniałe drzewo, przywiązane do innych, zwali się i żebra połamie. Obaj pokochali wszystko, co było wrogiem lasu. Mieli głęboki, pierwotny kult dla świętego ognia. W czasie zaś burzy cieszyli się, słuchając łoskotu walących się od wichury spróchniałych drzew, raz po razu, to gdzieś daleko w puszczy, to znów nieopodal ich karczowiska. Błogosławili pracy korników i wszelkiego robactwa, niszczącego nienawistny las. A bujna roślinność wydrzeźniała się im i wycięta, wypalona i zdeptana, wyrastała przed nimi, za nimi, i niemal pod stopami. Ledwie na spalenisku zasadzili manjok i czarną fasolę, a już wyrastał sążnisty chwast i uparty pnącz wdrapywał się bezczelnie na powalone i osmalone ogniem pnie, które leżały na „roli", bo ich ani spalić, ani usunąć nie było można.

Zbili barak z desek, spletli dwa hamaki, pod głowę wytarte i postrzępione bluzy, a papuga, wrzeszcząca na szczycie palmy, przemieniała się w ich snach w bociana, klekocącego na słomianym dachu. Śnił się im garnek „rzepy", oblanej masłem; cóż to za przysmak wobec bulw gorzkiego manjoku, po którym się obaj rozchorowali, lub wobec słodkich i bez nijakiego smaku batatów.

Źle było im na obczyźnie, ale stanęła między nimi niema umowa, żeby tego, co było, nie wspominać.

Zbili barak z desek

Wojtek był niski, krępy i dziobaty. Garść miał szeroką, bary mocne i chłop był w pracy zażarty. Pietrek był smukły jak sosna, zgrabny, ale mniej wytrzymały. Karczowanie wprawiało go w furję. Bywało, rzuci się czasem z siekierą w gąszcz, z pianą na wargach i klęciem okropnem w zaschniętem gardle i wali na oślep, tocząc zakrwawionemi ślepiami, póki nie trzaśnie siekiera i toporzysko z brzękiem nie odskoczy od pnia. Wtedy skacze ku drzewu jak jaguar i nuż drzeć korę pazurami, a gałęzie obrywać i zielsko nienawistne deptać, aż zwali się na ziemię i dychać ciężko będzie przez godzinę. Wojtek spoziera na niego spokojnie i bez słowa, ani mu się dziwując, ani mądrem słowem uspakajając, spluwa i z palącą, zimną nienawiścią w oczach patrzy bacznie w gąszcz leśny, jakby szukając serca lasu, w które mógłby siekierą ugodzić. Potem obejrzy się dokoła, na nieprzeniknioną gęstwę i spojrzy z westchnieniem ku górze na ten skrawek błękitnego nieba, który sobie z Pietrkiem wyrąbali siekierami.

*

Kiedy Piekielnik zalał po raz trzeci Długopole, Wojtek splunął w mętną wodę, toczącą powydzierane z jego pola owsiane kłosy, i zaprzysiągł szukać szczęścia w świecie. Zagryzł w zębach niezłomne postanowienie i w cztery miesiące potem jechał już do Brazylji.

Jechało dużo narodu, bo obiecano im grunt, a w rzeczywistości mieli zlewać krwawym potem plantacje.

Pół roku trzymali ich w barakach, a na plantacje ciągnęli, złote góry obiecując, to znów grożąc, aż wreszcie tych, co uparli się i nie poszli na parobków, wywieźli do południowych stanów. Reszta, omamiona złotemi górami, poszła pracować i marnieć na plantacjach kawy.

Wojtkowi nie śpieszyło się do życia na komornem. Chciał bodaj kawał bagna, bodaj lasu kilka piędzi, ale swojego. Ino słońce ma prawo pić jego pot. Rwał się do pracy całą duszą, ale krzepkość znacznie w nim opadła, kiedy siekiera poraz pierwszy zgrzytnęła o twardy pień. Ani śniło mu się jednak porzucać pracy. Będzie karczował kilkanaście lat, aż las da za wygraną i ustąpi przed plantacją kawy, czy kakao. Choć lasu nieomal nie sposób było ugryźć, przecież posuwał się naprzód bodaj ten krok na dzień. A gleby lepszej nie znaleźć. Przecież ten Szwab, co z nimi tu zjechał i przeląkł się karczunku, a ziemi lekkiej szukał, poszedł ku piaskom i zmarniał. Zobaczył pusty, piaszczysty ugor, gdzie tu i ówdzie sterczały kaktusy i ucieszony sadził manjok i bataty. Ledwo mu kilka batatów na wieczerzę wyrosło. Głupi — nie wiedział, że gdzie „katinga", gdzie sterczą pałki kaktusowe, tam słońce wypali i wyżre wszelką wilgotność. Wojtek śmiał się, ile razy przypomniał sobie chytrą i opasłą twarz Niemca, pokąsaną niemiłosiernie przez moskity i komicznie płaczliwą. Zato na karczowisku Wojtkowem strzelała już w górę kukurydza, rumiana i rudym warkoczem potrząsająca, niby zdrowa i śmigła dziewucha.

Zostawili sobie przy tym karczunku dwie palmy kokosowe, koło baraku, a one chwiały się pióropuszem liści, niby dwa sztandary na zdobytej pozycji.

Pod nimi ułożyli się pewnego południa do drzemki, podłożywszy bluzy pod głowy. Parno było i upał taki, że nie sposób dźwignąć siekiery. Burza wisiała w powietrzu. Nad głowami drzemiących krążyły leniwie duże i ociężałe, żółte muchy „butuki" z niskim basowym bzykiem. Drzemiący Wojtek patrzył przez wąską szparę między czerwonemi od słońca powiekami na szczyt Pietrkowej palmy. Ponad jej czubem drgały w błękicie puszyste, białe kulki kolibrów. Jedne przelatywały nad palmą, niby kłębuszki śniegu, lekko zaróżowione słońcem, inne wisiały w powietrzu nieruchomo, jak przywiązane do niewidzialnej nitki kuleczki białej waty. W powietrzu drgało metaliczne burczenie, wygrywane migotliwym ruchem ich skrzydełek. Wojtkowi zdawało się, że te ptaszki-muchy bzyczą, uderzając w locie skrzydełkami w błyszczące druciki słonecznych promieni, które kłuły go niemiłosiernie w oczy. Wojtek westchnął. Westchnął powtórnie i głębiej, ale przez głowę przewinęła mu ociężałym lotem żółtej muchy ta zbawcza myśl, że na myślenie jest za gorąco, i Wojtek usnął.

*

Potrząsa olbrzymim czubem z piór

Na czubie Pietrkowej palmy kołysała się na gałęzi czerwonopióra papuga „Arakanga". Ptak ten jest święty i nietykalny, bo przebywają w nim po śmierci dusze bronzowych „Bororó", więc mógł bezpiecznie kołysać się na palmowej gałęzi, tem bardziej, że ani Pietrek, ani Wojtek nie mieli strzelby, a do tego chrapali, ile wlezie. Ale dusza „Bororó" jest mściwa i okrutna po śmierci i szkodzi żyjącym. Czerwona Arara kołysała się monotonnie na palmowej gałęzi tuż nad ogromnem, dojrzałem i pionowo nad Pietrkową głową wiszącym orzechem kokosowym. Ponura dusza wojownika Bororó knuła coś pod płaszczem papuzich piór.

Nagle papuga wrzasnęła i zerwała się do lotu.

To dusza wojownika Bororó wydała wojenny okrzyk. Z potrąconej gałęzi urwał się ciężki, kokosowy orzech i stuknął z łoskotem w poniżej leżącą gałąź, przedarł się z szelestem przez zagradzające mu drogę liście i całym pędem leciał w dół.

A Wojtkowi właśnie się śniło, że nad głową Pietrka zamierza się płaską maczugą wojownik z plemienia Bororó, którego widzieli w drodze do Paraná. Potrząsa groźnie olbrzymim czubem z piór błękitnych Ararapapugi, niby rozsierdzony i nastroszony ogromny dudek. Wojtek łapie go za ramię, obwiązany pękiem pstrokatych piór. Szamotają się. Dzikusowi z pod daszka orlich piór, przyczepionych poziomo do opaski nad brudnem i spoconem czołem, pałają ogniem złe, czarne oczy.

Wojtek łupnął go pięścią w brunatną pierś, zawadził o naszyjnik z małpich zębów, rozdarł go i rozsypał, jak paciorki odpustowego różańca.

Dzikus szarpnął się w tył, a Wojtek potknął się na toporzysku Pietrkowej siekiery.

Nad jego głową świsła maczuga — Jezusie! — głuchy stuk —

Ogromny orzech kokosowy łupnął Pietrka w samo ciemię. Aniby ze strzelby lepiej nie wycelował.

Wojtek posłyszał jęk Pietrka, przetarł oczy i skoczył ku palmie.

A wojownika Bororó już nie było.

Przez chwilę sen i rzeczywistość zlały się u Wojtka w jedno.

Uciekł — psia jego mać — uciekł.

Wojtek z nagła oprzytomniał. Jakby mu łuska z oczu spadła. Z Pietrkowej bowiem głowy rozwalonej w czerepy jak stary garnek lał się strumień krwi, w której pławił się włochaty, pęknięty orzech kokosowy.

*

Pochował Pietrka pod kwitnącym krzewem paragwajskiej herbaty, o białym pniu, jak pień brzozy. Na kopiec rudej gleby sypały się zdmuchnięte wiatrem białe, niby bzowe, kwiaty i głaskały grób osadnika gałązki o lśniących, skórkowych liściach, niby litościwe ręce w rękawiczkach glacé.

Osamotniony Wojtek rozmawiał odtąd tylko dzikiemi klątwami z nienawistnym lasem. Wgryzał się w puszczę toporem, palił, ścinał i sadził, ale bez nijakiej radości. Stał się ponurym i zimnym wrogiem lianów i twardych pni. Czasem tylko, gdy południowo-wschodni wiatr przynosił ulewę i mi-

moza, rosnąca podle baraku, stulała w rynienkę pierzasty liść, Wojtek siadał na progu baraku, patrzył na uciekające do nor skorpjony i na srebrne strumienie deszczu i dumał ponuro.

Po śmierci Pietrka, w dwa lata niespełna, wybudował sobie stajnię i przyprowadził chudą krowinę. Kupił strzelbę za wiązki suszonej „Matée" i wymienił pióra „buitre", ogromnego jastrzębia, pióra cenione przez wojowników Bororó, na pas z nabojami. Pewnego bowiem ranka zbudzony jękliwym pokrzykiem wypadł z chaty na bosaka w pływającą w rannej rosie trawę i zobaczył ogromnego jastrzębia, trzepoczącego się na ziemi. Drapieżnika trafiła gdzieś w puszczy bambusowa strzała. Starał się wydziobać z tułowia twarde ostrze połamanej palmy. Wojtek ubił go siekierą, ale ptak rozszarpał mu rękę do kości tak, że przez tydzień nie dźwignął topora.

To jedno nieszczęście się opłaciło, bo pewnej bardzo zimnej, lipcowej nocy, przyszedł do jego baraku „kaboklo", myśliwy-

Wojtek siedział na progu baraku

mieszaniec i zaofiarował mu pas z nabojami za sokole pióra.

Ale za jeszcze inne igraszki losu nikt Wojtkowi ani reisa nie dał.

O kilkanaście pacierzy od Wojtkowego baraku mieszkał rosyjski chłop, olbrzym i pijanica. Ten leżał już kilka tygodni, okulawiony przez straszną „chigne", pchłę wżerającą się pod skórę i jęcząc darł czarnemi pazurami sterczącemi z chudych, pożółkłych palców siną skórę na opuchniętej łydce. Gangrena pozostawiała mu jeszcze kilka dni do życia, podczas których pił, sprzedając za bezcen wszystko, co chciał kupić chudy i żylasty żydek, handlarz z oddalonego o dzień drogi miasteczka.

Wojtek zaszedł do niego do chaty i dogadali się nawpół na migi, bo zresztą słowo „chigne" wystarczyło za środek porozumiewawczy. Obmył nogę jęczącemu i klął na Brazylję, gdzie niema nawet poczciwego kundla, co pastuchom jęzorem czyści zranione nogi. W tej puszczy chyba rudego kaguara poprosić, żeby zranione miejsce lizał.

W kilka dni po tym chrześcijańskim uczynku poszedł Wojtek zobaczyć, czy Moskal już do cna zczerniał. Ledwie stanął na skraju karczowiska, a już z progu chaty i z dachu zerwały się ścierwniki.

Wojtkowi zaraz wszystko było jasnem, skoro tylko zobaczył te ptaki o oskubanych szyjach. Wszedł do chaty i zakopał resztki z sępiej uczty, znacząc grób katolickim krzyżem, bo taki i łatwiej zbić, niż prawosławny, i prędzej duszy, choćby i potępionej, pomoże. Potem zabrał ze stajni rosłego, ale wychudzonego konia, bo przecie nie godzi się zostawiać szkapy na pastwę jaguara, lub żyda-handlarza.

Nie życzył mu jednak dobrze ten „Russo"; może być, że mu nie w smak był katolicki krzyż. Kiedy bowiem Wojtek poszedł na jego „roce", na zarastające zielskiem karczowisko, żeby przynieść kilka desek na rusztowanie, na którem miał suszyć „matée", posłyszał, powracając, kwik koński. Rzucił deski i biegł do baraku po strzelbę.

Na powalonym koniu ucztował jaguar, opędzając się bezskutecznie przed ścierwni-

kami, które mu z pod łap wyrywały smaczne kąski.

Wojtek wypalił na oślep. Jaguar odwrócił się, wyszczerzył kły i gotował się do skoku. Tylko ścierwniki, obrzuciwszy obojętnem spojrzeniem strzelającego człowieka, rozdzióbywały końskie ścierwo.

Wojtek strzelił po raz drugi. Jaguar zwinął się w kłębek i skoczył w krzaki. Ścierwniki wzleciały leniwo i obsiadły kokosową palmę, ale kiedy Wojtek pobiegł w gąszcze za postrzelonym jaguarem, opuściły się na dół i żerowały, dziękując słońcu, że stworzyło człowieka, konia i jaguara.

*

Czerwone, bezdymne ognisko płonęło pod drewnianem rusztowaniem, wspartem na czterech słupach, na którem Wojtek suszył powiązane „snopki" gałązki „herwa matée". Patrzył bacznie, czy chytry ogień nie ima się słupów lub desek rusztowania, i dorzucał suchych szczap, bo ognisko dymić nie powinno.

Wśród srebrzystych liści kokosowej palmy przelatywały białe nietoperze. O kilkadziesiąt kroków, z za krzaka patrzyła w czerwoną od blasku płomieni lufę strzelby para czarnych, złych, ale bólem zamglonych ludzkich oczu.

Obok człowieka leżał rudy, młody kuguar i mrużył złote ślepia, wpatrując się w czerwień ogniska.

Czający się człowiek wysunął się z za krzaka. Wojtek odróżnił szelest od trzasku ognia. Błyskawicznie odsunął się od ogniska i chwycił strzelbę. Posłyszał jęk. Ku ognisku wlókł się człowiek. Wojtek oczekiwał go z palcem na cynglu.

W tej chwili przelatujący, ogromny chrząszcz-świetlik oświecił niby mała latarka bronzową twarz o czarnym zaroście i wielkich, dzikich, czarnych oczach.

Siedząc przy ognisku, opowiadał przybysz łamaną portugalszczyzną, naszpikowaną wyrazami z djalektów szczepowych, jak to „Bugre" postrzelili go w nogę, kiedy leżąc w krzakach przypatrywał się tanecznemu kołu. „Bugre" — to dobrzy łucznicy — od człowieka wyższe ich łuki. Palmowe ostrze przebije nawet twardą skórę tapira, po której nieraz obsuwają się bezradnie pazury jaguara. I pekaris, dziką, szarą świnię, o białej wardze, co w stadzie i kuguara zagryzie, potrafi przeszyć bambusowa strzała wojownika z plemienia Bugre. Nawet ryb nie łowią wędką, ani siecią, — z łuków strzelają w srebrzyste łuski.

Wojtek pomógł opatrzyć nogę brodatemu przybyszowi. Rozcięli nożem ranę i wyjęli ostrze strzały. Potem przybysz rzucił w krzaki gardłowy okrzyk i z krzewów kokosowych wysunął się ku przerażeniu Wojtka kuguar, o białem podbrzuszu, i biegł do brodacza, bijąc ogonem po bokach. Ku zdumieniu osadnika szorstki język kuguara, wysunięty z poza błyszczących kłów, lizał krwawiącą ranę przybysza.

Zdumiony zażyłością człowieka z płowym drapieżcą, ani nie przeczuwał Wojtek, że u jego ogniska siedzi „burgero" — dziki myśliwy na leśnych ludzi.

Bugrero był mieszańcem. Ojciec jego był białym, a matka kobietą z plemienia Tanlipang, z nad rzeki Parima. Nie nosiła ona ani opaski z kory na biodrach, ani wiązała koło bioder gałązkę palmową, bo miała fartuszek z perełek nawleczonych na bawełniane nitki. W pamięci „bugrera" pozostała jej czarna grzywa, podcięta nad niskiem czołem i okalająca twarz jasną, prawie białą, o grubych rysach i czarnych oczach. Matka powiedziała mu, że będzie bratem kuguara i tak się stało. Biały bowiem ojciec nie zachował „couvade", nie udawał połogu i zjadł w czasie, gdy syn był w żywocie matki, mięso kuguara. Kobieta z plemienia „Tanlipang" miała słuszność. Syn jej stał się bratem płowego pumy, który teraz lizał mu ranę, a zwykle polował z nim razem na leśnych ludzi. A wszystko to wina białego człowieka, który nie zachował „couvade".

Wojtek słuchał słów opowiadającego, ale nic nie rozumiał.

Zato, kiedy obudził się, przy tlejącem ognisku nie było ani bugrera, ani kuguara, ani też Wojtkowej strzelby. Zamiast niej stała oparta o słup zardzewiała dwururka starego systemu. Drapieżny bugrero, ograbiwszy osadnika, odszedł cicho i znikł w leśnym gąszczu razem z bratem swoim kuguarem.

I znowu drżeli Botokudzi, kiedy zaklęta

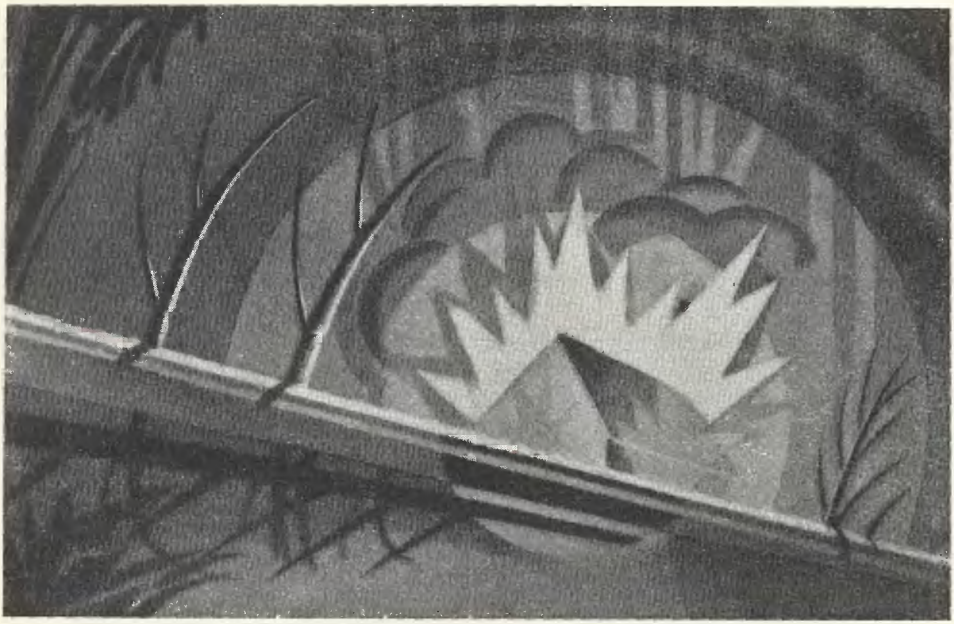

Barak również był w płomieniach

w meteor dusza bugrera przelatywała krwawą groźbą po granatowem niebie, lub ryczała w ciele jaguara, bo czuli, że w gęstwinie czają się dwa kuguary: płowy zwierz i okrutny myśliwy, polujący na leśnych ludzi.

Kiedy wody potopu zalały lasy i stepy, ludzie schronili się na skaliste szczyty i wierzchołki podniebnych drzew. Gdy wody opadły, i tu i ówdzie ukazała się ziemia, zamało jej było oczywiście, aby mogła wystarczyć dla wszystkich Gês, którzy noszą bardzo długie łuki, i dla wszystkich Tupi, używających zatrutych strzał. To też część ludzi wolała pozostać na drzewach i zajadać orzechy kokosowe i jaja ptasie, niż zbierać żaby, węże i jaszczurki i piec je na rożnie z twardej palmy. Z tych ludzi wywodzą się małpy.

Wojtek musiał przyznać słuszność tej teorji, bo o podobieństwie ludzi z małpami przekonała go niemiła przygoda.

Od dłuższego czasu upodobały sobie te stworzenia kilka palm, rosnących w rogu karczowiska, a że Wojtkowi kokos również smakował, więc zaczaił się na szkodników, osłonięty gęstym krzakiem. Wziął na cel dużą, rudą małpę, zajadającą ze znawstwem włochaty owoc. Wypalił. Małpa wypuściła orzech i przywarła do pnia, skamieniała z przerażenia. Nie zdążył jednak drugi raz wypalić, bo musiał cisnąć strzelbę i trawą wycierać obryzganą twarz...

Przerażona małpa upodobniła się w strachu do człowieka. Wojtek klął siarczyście, ale pocieszał się myślą, że byłoby o wiele gorzej, gdyby w tym przeklętym kraju krowy latały w powietrzu.

Małpy nie pozostały mu dłużnemi za gościnne przyjęcie. W miesiąc potem objadły mu doszczętnie krzewy kakaowe.

*

Tak mu się wiodło jeszcze kilka lat.

Wszystko jakby sprzysięgło się przeciw niemu.

Raz kilka zimnych nocy zniszczyło cały zagon krzaczastego manjoku, to znowu susza zniszczyła hodowlę batatów, lub rdza ogryzła kawowe krzewy z jajowatych liści.

Wojtek zrozumiał, że darmo boryka się z niepowodzeniem. Szczerniały i wynędzniały, żywił się nieraz przez tygodnie pieczoną kukurydzą.

Wreszcie przyszło to ostatnie.

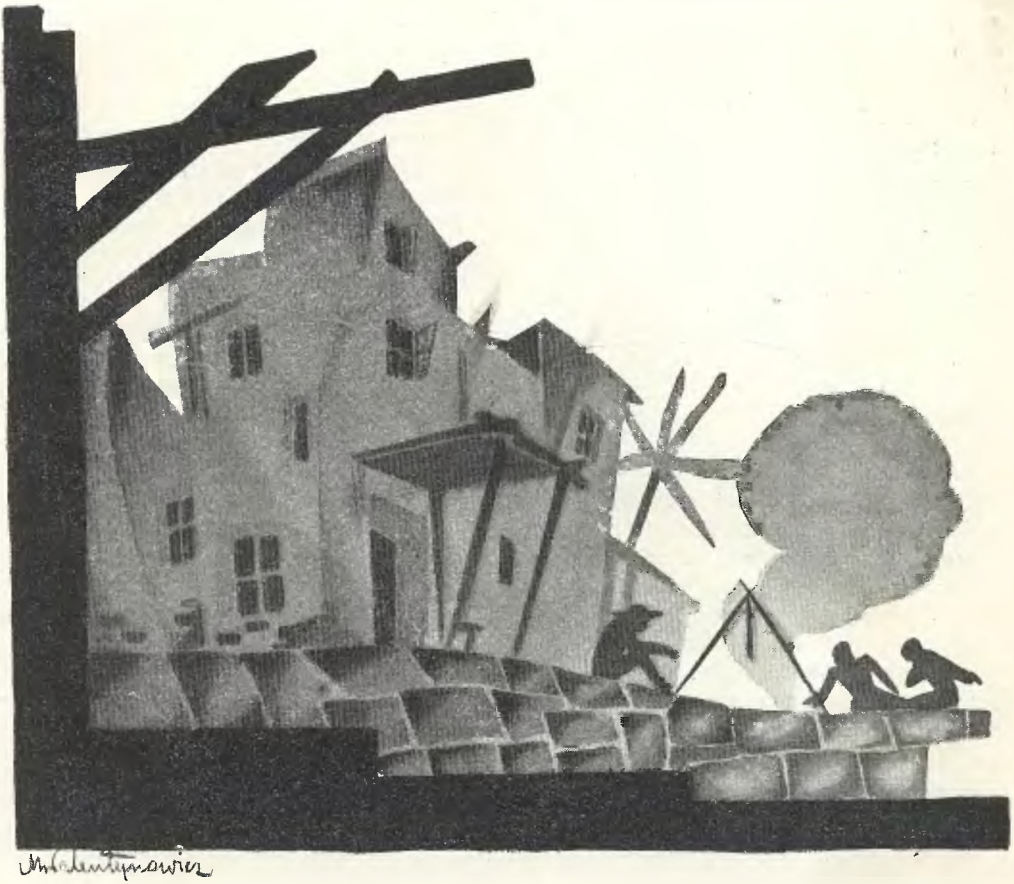

Zamieszkał w brudnym domu w robotniczem przedmieściu

W połowie września poobcinał gałązki herbaty, osmolił je na ogniu, a potem powiązane łykiem bambusowem suszył na drewnianem rusztowaniu, paląc pod niem ostry ogień. Pewnej nocy, znużony śmiertelnie, usnął przy ognisku. Piekący ból poderwał go na równe nogi. Strząsnął iskry z płonącej czupryny i przetarł oczy. Rusztowanie wraz ze snopkami matée było jednym słupem ognia. Rzucił się po siekierę do baraku i oniemiał. Barak również stał w płomieniach. Silny wiatr zaniósł iskry na stodółkę, gdzie czekały młocki osuszone snopki herbaty, a rozjuszony ogień w mgnieniu oka rzucił się na barak skokiem jaguara. Wojtek stał, jak piorunem rażony; a w oczach tańczyły mu języki czerwonych płomieni, smokujące w jego krwawicy.

*

Dwa dni siedział bez ruchu na pniu spróchniałym i patrzył na zgliszcza. Z lasu wyjrzał na karczowisko chwast i, pierwszy raz od szeregu lat nietępiony krzywym nożem, przyglądał się ciekawie człowiekowi.

Na trzeci dzień Wojtek przewiesił strzelbę przez ramię i ruszył przez puszczę w stronę morza. Szedł dniami i nocami, żyjąc leśnym owocem i mięsem ustrzelonego ptactwa. W dzień prowadziło go słońce, a nocą towarzyszył mu uparcie samotnica, czarny ptak, idący krok w krok za wędrowcem. Przelatywał nad głową Wojtka cicho i bez szelestu jak nietoperz i kulką czarnej waty opuszczał się co kilkanaście kroków na ścieżkę idącego. Wojtek nie strzelał do ptaka, ale tylko pacierze odmawiał, bo mu się zdało, że to Pietrkowa du-

sza polatuje nad nim na czarnych aksamitnych skrzydłach.

*

Po kilku latach tułaczki przywlókł się na barłóg w „hotelu emigrantów" na Retiro w Buenos Aires. Argentyńska ziemia otworzyła przed nim gościnnie ogromny i obskurny barak.

Szczęścia już nie szukał. Włóczył się z rezygnacją po monotonnem, płaskiem mieście, o prostych, krzyżujących się ulicach. Casem wyciągnął rękę przy alei Alvear, gdzie obok pałaców argentyńskich miljonerów stały stare budy i brudne szynkownie, odrapane z różowego tynku.

Potem zamiatał ulice. Zamieszkał w brudnym „couventillo", domu robotniczym, na nędznem przedmieściu. „Dom" stanowiły czarne i duszne nory, ziejące nędzą na wyłożone kamiennemi płytami podwórze. Razem z innymi gotował strawę na ognisku, rozłożonem pod gołem niebem na kamieniach. Za przywilej korzystania z nory i płyt brukowanego podwórza płacił połowę nędznego zarobku.

Czasem wałęsał się bezmyślnie wśród eukaliptusów i bambusów lasku Palermo, gdzie przyjezdni wybierali się zwykle na pierwsze przechadzki. Bacznie nadsłuchiwał rozmów, czatując na dawno niesłyszane dźwięki.

Albo też szedł do portu patrzeć na szafir morza, zlewający się na horyzoncie z beznadziejnie czystym błękitem nieba.

Tak spędzał dni świąteczne.

Powszedni dzień zastawał go zawsze zamiatającego bruki. Z ruchu ulicznego widział tylko koła zbytkownych powozów i aut, lub błyszczącą w słońcu czerń lakierów, gdy obok niego przebiegali po trotuarze wypomadowani eleganci.

Głowy nie podnosił do góry i nie patrzył na ludzkie twarze. Bo i poco? Od nikogo niczego się nie spodziewał.

Z dnia na dzień wymiatał z duszy wszelką nadzieję. Tylko obrazu chałupy nad Piekielnikiem ani pazury jaguara nie wydarłyby mu z serca.

O karczowisku swojem zapomniał. Pewnie tam już inną ręką podłożony ogień rzucał się zapalczywie na zimną ścianę lasu. Nie dla Wojtka już zresztą karczowanie. Zużywa się siekiera, zużywa się i człowiek. W kurzu ulic argentyńskiego miasta, zżarty zmaganiem się z lasem, chylił się ku ziemi i sechł, jak na tyłach mangrowiowego lasu usycha, sterane walką z morzem, mangrove...

Tajemniczy towarzysz Syrjusza

Najpiękniejszą gwiazdą całego nieba, świecącą u nas podczas nocy zimowych w południowej stronie, jest Syrjusz.

Gwiazda ta znana już była starożytnym narodom, szczególnie Egipcjanom, którzy od roku 3285 przed naszą erą posługiwali się nią w celu sprawdzania długości roku i poprawiania swego kalendarza.

W starożytności i średniowieczu wierzono, że ta wspaniale błyszcząca gwiazda wywiera swój wpływ na losy narodów ziemi.

Dziwny urok rzucała ta gwiazda na ludzi. Nawet taki Kant uważał ją za potężny ośrodek przyciągania i obiegu naszego słońca wraz z wszystkiemi gwiazdami.

Astronomja współczesna dowiodła, że we wszechświecie niema takiego ośrodka, że gwiazda ta, choć przewyższa nasze słońce, jednak nie jest największa śród nich.

Zaobserwowano atoli coś więcej. Bieg tej gwiazdy w przestrzeni jest nieprawidłowy, a Bessel przypuścił, że te nierówności powoduje jakieś ciało, poruszające się z gwiazdą.

Nie trzeba było długo czekać na potwierdzenie tej teorji.

W r. 1862, syn znakomitego optyka, Alvana Clark'a, obserwując Syrjusza przez lunetę wykonaną przez ojca, zauważył w promieniach jego ledwo błyszczącą gwiazdeczkę 8 wielkości. Gwiazdka ta okazała się towarzyszem Syrjusza, obiegającym go w ciągu 50 lat w odległości około 5 biljonów km.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Niedawno dyrektor obserwatorjum na górze Wilsona (Solar Obserwatory), W. Adams, zdołał otrzymać, pomimo oślepiającego blasku samego Syrjusza, widmo jego towarzysza. Okazało się, że blask towarzysza jest 10.000 razy mniejszy od blasku gwiazdy głównej (rys. 1).

Pod względem swej ewolucji kosmicznej należy do gwiazd typu Fo, o temperaturze 8000° i średnicy 40.000 km.

Pomimo tak małej średnicy, która jest tylko 3 razy większa od średnicy ziemi, masa jego mało się różni od masy słońca...

Jak objaśnić ten dziwny fakt?

Znakomity astronom-teoretyk, Edington, na podstawie swych rozważań co do wielkości absolutnej i masy towarzysza, dochodzi do wprost fantastycznego wyniku, że gęstość tego małego, niezwykłego słońca jest 53.000 razy większa od wody, czyli 2.500 razy przewyższa gęstość platyny!!

Edington tłumaczy ten dziwny, dotychczas nie notowany w dziejach astronomji fakt tem, że wysoka temperatura wnętrza gwiazdy powoduje zjonizowanie gazów, t. j. pozbawia ich atomy większej ilości elektronów, które, jak wiadomo, krążą koło jądra środkowego. Przyczem zwalniają się zewnętrzne, najdalej leżące elektrony; atomy gazu gwiazdy stają się jakby mniejsze, gaz robi się gęstszym.

Jeżeli wnioski Edingtona są prawdziwe, towarzysz Syrjusza musi dać możność sprawdzenia twierdzenia Einsteina o przesunięciu linij widmowych ku czerwonej części widma w polu grawitacyjnem.

Wskutek tak ogromnej masy towarzysza, pole to jest znacznie silniejsze, niż na słońcu, i powinno wpłynąć na przesunięcie linij w jego widmie.

Cała trudność polegała na tem, aby móc otrzymać widmo tej gwiazdy. Pomimo silnego blasku Syrjusza zdołano sfotografować widmo; okazało się, że linje są przesunięte o tyle, ile właśnie wymaga teorja względności.

M. Białęcki.

O balsamowaniu zwłok

Napisał

Dr. med. Kazimierz Prawdzic

„Zwłoki... zostały zabalsamowane..."

Gdy czytamy te słowa w dziennikach w parę dni po czyjejś śmierci, wiemy doskonale, że umarł ktoś znakomity, zasłużony, sławny, szczególnie drogi. Nie można dopuścić, żeby ktoś taki sławny, jak np. Sienkiewicz, uległ temu samemu losowi, co tysiące i miljony zwykłych śmiertelników, żeby ta sama ręka, co takie piękne rzeczy pisała, uległa rozkładowi, żeby drogie nam rysy uległy zniekształceniu! Oddajemy hołd zasłudze, powadze i dostojności, składamy hołd uznania i miłości, wyróżniamy jednostkę z pośród miljonów, gdy postanawiamy zwłoki zabalsamować.

W ten sposób Polska oddawała cześć dawniej swoim królom i biskupom, balsamowano również zwłoki Kościuszki i Mickiewicza, a w ostatnich latach prezydenta Narutowicza, rektora Uniwersytetu Poznańskiego Heliodora Święcickiego, Stefana Żeromskiego, arcybiskupa Cieplaka.

Ale jakiego to balsamu się używa w tym celu i gdzie można kupić ten cudowny balsam, który chce odsunąć, a nawet być może na zawsze usunąć nieubłagane następstwa śmierci? Te natrętne pytania nasuwają się każdemu, kto dziś czyta w dziennikach wiadomość, że czyjeś zwłoki „zabalsamowano".

*

Sztuka balsamowania zwłok rozpoczyna się i kwitnie już w czasach starożytnych, przedewszystkiem w Egipcie. Wpłynęły tam na to z jednej strony pobudki natury religijno-filozoficznej, dążące do tego, by zwłoki drogich zmarłych jak najdłużej zachowały swój wygląd ludzki. Mianowicie

Balsamowanie egipskie
(Przy ściamie trumna formy ludzkiej)

starożytni Egipcjanie wierzyli, że dusze zmarłych tak długo nie opuszczają zwłok, dopóki te pozostają niezniszczone. Z chwilą, gdy zwłoki zaczynają się psuć i gnić, dusza opuszcza zwłoki i przechodzi w jakieś zwierzę i kolejno w coraz to inne zwierzęta, odbywając t. zw. wędrówkę dusz, mającą trwać 3000 lat. Z drugiej strony może też odegrała pewną rolę obawa przed wyziewami zwłok gnijących niebalsamowanych, gdyż stale się powtarzające wylewy Nilu czyniły zakopywanie zwłok w ziemi nadaremnem, wskutek wymywania ich przez wodę.

Gnicie zwłok zależy od dostępu powietrza, pewnej ciepłoty i wilgoci. Wstrzymać je można rozmaitemi środkami, tak fizycznemi, jak i chemicznemi. Do grupy środków fizycznych należy przedewszystkiem zimno, okazało się bowiem, że w niskiej temperaturze zwłoki latami całemi mogą przebywać w stanie niezepsutym. Również gorąco działa przeciwgnilnie, wysuszając zwło-

ki, jak to zauważyć można na pustyniach w Arabji i na Saharze, gdzie zwłoki ludzi i zwierząt w krótkim czasie zostają wysuszone na t. zw. białe mumje. Podobnie choć dłużej działa suche powietrze połączone z silnym przewiewem; świadczą o tem liczne zwłoki, doskonale zachowane, w klasztorze Kapucynów w Palermo, w klasztorze św. Bernarda, w podziemiach katedry w Bremie, w kościele OO. Reformatów w Krakowie. Podobnym przykładem są też zwłoki odkopywane w Pompei, które przykryte popiołem i lawą setki lat przetrwały bez rozkładu.

Chemicznych środków, powstrzymujących gnicie, istnieje bardzo wiele. Substancje żywiczne, balsamiczne używane dawniej w tym celu, o czem świadczy sam wyraz „balsamowanie", zostały obecnie prawie zupełnie wyrugowane przez substancje mineralne, i organiczne jak formalina, sublimat, kwas karbolowy, gliceryna, alkohol.

Z rozmaitych sposobów balsamowania, jakich kiedykolwiek używano, dadzą się następujące metody wyodrębnić:

1. Metoda egipska — polegająca na właściwem „balsamowaniu", mianowicie na poddawaniu zwłok działaniu olejków pachnących, balsamów, żywic i innych substancyj antyseptycznych przy równoczesnem impregnowaniu zwłok w soli t. zw. natronie, co stanowi najwięcej charakterystyczną cechę tej metody;

2. Metoda peruwjańsko-meksykańska — polegająca na wysuszaniu zwłok;

3. Metody średniowieczne — polegające przeważnie na nieudolnem naśladowaniu metody egipskiej;

4. Metoda nowoczesna, stosowana dzisiaj — polegająca na wprowadzaniu do naczyń krwionośnych płynów, konserwujących zwłoki.

Sposób balsamowania stosowany przez starożytnych Egipcjan opisali szczegółowo Herodot i Diodor Sycylijski, a został on prawie w zupełności potwierdzony i wyjaśniony przez najnowsze badania mumij, przeprowadzone przez Ruffera. O doskonałości tego sposobu świadczą liczne mumje, dziś jeszcze znajdowane w grobowcach na cmentarzach pod Memfis, Abydos, Tebami i innych, w których spoczywały nietknięte od kilku tysięcy lat.

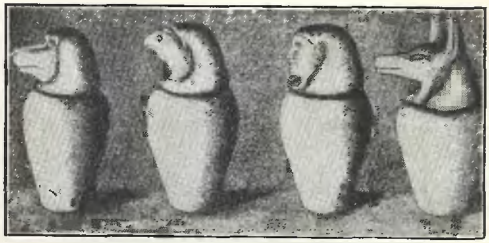

Naczynia do przechowywania wnętrzności wyjętych z mumji

Rozpoczynano tam balsamowanie od wydobycia mózgu przez nos zapomocą zakrzywionego metalowego narzędzia i wypłókania wnętrza czaszki płynami balsamicznemi. Następnie zapomocą ostrego, kamiennego noża robiono cięcie na lewym boku i wydobywano wnętrzności, które po napuszczeniu aromatami umieszczano w osobnych urnach, zwanych kanopami.

Urn takich używano w liczbie czterech, nakrywka każdej przedstawiała jednego z genjuszów śmierci, czyli dzieci Horusa: *Api* był przedstawiony jako głowa psia i ochraniał płuca, *Khebsennuf* miał głowę sokoła i ochraniał jelita, *Amset* był przedstawiony jako głowa ludzka i ochraniał wątrobę, nakoniec *Tuamautef* miał głowę szakala i ochraniał żołądek. W późniejszych czasach trzewia po nasyceniu solami sodowemi, podobnie jak i resztę ciała, owijano bandażami i wkładano z powrotem do jamy brzusznej. Pamiętano jednak zwykle o włożeniu pomiędzy nie statuetki z fajansu emaljowanego o głowie ludzkiej, sokolej, psiej lub szakalej w zastępstwie urn kanopów epoki dawniejszej.

Powstałą po wyjściu wnętrzności jamę oczyszczano winem palmowem, olejem cedrowym i naparem różnych wonności, poczem wypełniano ją sproszkowaną myrrą, cynamonem, kassją oraz innemi korzeniami, żywicami, ziołami i wonnemi korami, które nietylko służyły do zachowania ciała, ale również nadawały mu przyjemny zapach. Po zaszyciu rany, umieszczano ciało w ten sposób przygotowane na przeciąg 70 dni w „natronie", będącym mieszaniną chlorku, siarczanu i kwaśnego węglanu sodu, a którego pokłady jeszcze dziś znajdują się w Egipcie. Kąpiel ta stanowiła istotną część

Odwinięta mumja Ramzesa II (Muzeum w Kairze)

balsamowania egipskiego, gdyż z jednej strony pozbawiała zwłoki wody, która przechodziła do soli, z drugiej nasycała je solami antyseptycznemi, zdolnemi powstrzymać ich rozkład. Po osuszeniu i oczyszczeniu zwłok, namaszczano je pachnącemi olejkami, powlekano gumowym pokostem i owijano od stóp do głów cienkiemi pasami z „byssusu" lub płótna, napojonemi różnemi wonnościami. Bandaże te sklejane były ze sobą starannie zapomocą specjalnego kleju, a cała mumja powlekana była jeszcze zewnątrz pokostem, co miało zabezpieczyć ją od wilgoci i robaków. Po starannem wysuszeniu tej gumowej osłony wkładano zwłoki do drewnianych, rzeźbionych trumien, przedstawiających wizerunek człowieka i pokrytych hieroglifami, poczem zwracano je rodzinie zmarłego, która następnie umieszczała mumję wśród uroczystości pogrzebowych w kamiennym grobowcu w pozycji stojącej.

To był najdroższy sposób balsamowania, kosztujący 1 talent (około 5000 zł.). Istniały również sposoby tańsze, przy których nie usuwano wnętrzności, tylko wlewano przez otwory naturalne olej cedrowy, lub płynne żywice lub też rodzaj asfaltu; sposób najtańszy, dostępny nawet dla najbiedniejszych, polegał na obmyciu ciała płynem zwanym „syrmaja". Przy wszystkich tych sposobach nawet najtańszych 70-dniowa kąpiel w natronie była konieczna, poczem owijano zwłoki jak zwykle. W niektórych okolicach Egiptu w późniejszej epoce modyfikowano częściowo utarty sposób balsamowania, mianowicie oprócz kąpieli w natronie, kąpano zwłoki również w roztopionym asfalcie.

Balsamowaniem w Egipcie trudnili się osobni ludzie, prawdopodobnie należący do sekty kapłanów, kształceni w tej sztuce od dzieciństwa, a do nabalsamowania zwłok potrzebnych było kilku takich „rzemieślników", z których każdy miał wyznaczoną część pracy. Odbywały się przytem rozmaite obrzędy, np. ten, który przecinał ciało t. zw. „paraschystes", po spełnieniu swej czynności uciekał, a krewni zmarłego rzucali w niego kamieniami, jakby na znak, że za taką profanację zmarłego należy się kara.

Oprócz ciał ludzkich w starożytnym Egipcie balsamowano podobnie również ciała niektórych zwierząt, zwłaszcza tych, którym oddawano cześć boską, jak np. ciała ibisów, apisów czyli świętych byków, krokodylów, kotów, psów, wężów i t. p. Anglicy po opanowaniu Egiptu w ubiegłem stuleciu wywozili znajdowane masowo mumje zwierzęce na sztuczne nawozy.

Najstarsze mumje zachowane po dziś dzień znajdują się w Muzeum Brytyjskiem w Londynie i w muzeum w Kairze — a mianowi-

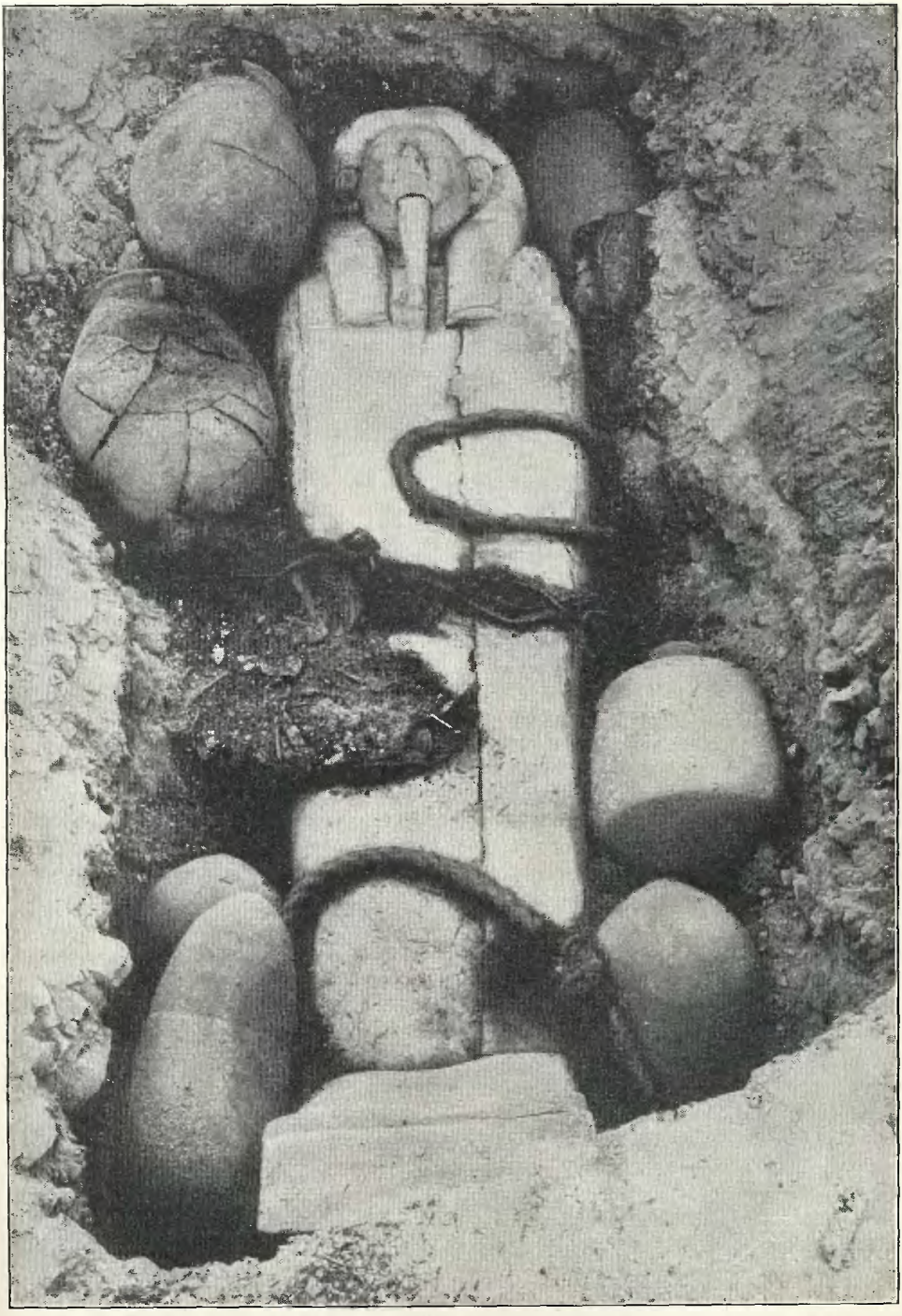

Mumja w chwili odkopania

cie mumja Mykerinosa i Merensa (6 dynastja — około 2500 lat przed Chryst.) — dalej liczne mumje innych faraonów jak Seti I, Tutmosisa III i Ramzesa II.

Mumja faraona Tutankhamena, odnaleziona niedawno przez lorda Carnarvona w grobach królewskich w Luksorze, co się odbiło głośnem echem na całej kuli ziemskiej, znajduje się w muzeum narodowem w Kairze i jest doskonale zakonserwowana.

Arabowie, jak to podaje podróżnik arabski Abd-ul-Latif z XII wieku, wpadli na pomysł używania mumji w sztuce lekarskiej. Również w Europie w wieku XVI i XVII uchodziły mumje za znakomity lek, zwłaszcza przeciw astmie, gruźlicy, ranom i stłuczeniom. W tym celu sprowadzano za drogie pieniądze mumje z Egiptu, ale również fabrykowano je na miejscu. Według zdania Paracelsa, sławnego lekarza, filozofa i alchemika z XVI wieku, osobliwie skuteczną miała być mumja, sporządzona z powieszonego, zwłaszcza jeżeli był rudy. Stosowania tego dziwnego leku zaniechano dopiero pod koniec XVIII wieku.

Oprócz Egipcjan balsamowaniem zwłok zajmowali się w starożytności również Asyryjczycy, Scytowie i Persowie (ci ostatni przez napawanie ciała woskiem). Opisy podają, że Aleksander Wielki kazał zabalsamować ciało Darjusza, a jego własne ciało wkrótce potem zostało nabalsamowane przez Egipcjan i Chaldejczyków. Pismo święte przytacza, że Józef kazał balsamować ciało swego ojca, co trwało 40 dni, jak to było zwyczajem. Piękna Kleopatra także była nabalsamowana i po upływie 126 olimpjad tj. około 500 lat za cesarza Herakliusza jeszcze znaleziono jej ciało nietknięte.

Grecy i Rzymianie początkowo nie zajmowali się balsamowaniem zwłok. Jednakże po zawojowaniu Egiptu przez Rzymian, przejęli ci ostatni w pewnym stopniu sztukę balsamowania, lecz już w VI w. po Chr. nawet w Egipcie sztuka ta podupadła.

Zwyczaj konserwowania ciał zmarłych istniał także u wielu innych ludów starożytnych, w innych częściach świata mieszkających; nie było to wprawdzie balsamowanie, ściśle na sposób egipski pojmowane, lecz postępowanie, które w każdym razie osiągało skutek podobny, a polegało głównie na wysuszaniu ciał zmarłych. Dawni mieszkańcy Peru zachowywali ciała swych zmarłych inkasów tak doskonale, że jak powiada Garcilasso: „nie brak im było ani włoska, ani rzęsy". W wielkiej świątyni słońca w Cuzco znaleziono zwłoki inkasów, siedzące po jednej stronie, ich żony po drugiej — z głową pochyloną i rękami na piersiach skrzyżowanemi. Również dawni Meksykanie umieli zachowywać ciała swoich znakomitych zmarłych, jak o tem świadczą całe szeregi zwłok znalezione w katakumbach w Guanajuato w środkowym Meksyku, jednak sposobów używanych przez nich nie znamy dziś dokładniej.

Mumje wymarłych już Guanchów, pierwotnych mieszkańców wysp Kanaryjskich, są zaszyte w skóry kozie i nie gorzej zachowane od egipskich.

Ludy, zamieszkujące niektóre z wysp Oceanu Spokojnego, znają prawie do dziś sposoby konserwowania zwłok swoich książąt i osobistości znakomitych. Między innemi znana jest ta sztuka na wyspie Samoa, jak to podaje w swoim opisie podróżnik rosyjski, Burzen. Zajmują się tam balsamowaniem zwłok wyłącznie kobiety i polega ono na wyjęciu wnętrzności z ciała zmarłego i na wycieraniu zwłok przez 2 miesiące ole-

Mumja staropernańska
(W odpowiedniem ubraniu)

Katakomby w Guanajato (Meksyk)

jem kokosowym, do którego domieszano soki z rozmaitych roślin. Równocześnie zwłoki suszą się na przewiewnem miejscu, poczem owijają je matami. Misjonarz angielski Turner widział na tej wyspie w r. 1884 kilka takich zwłok doskonale zakonserwowanych.

W Europie w wiekach średnich sztuka balsamowania zwłok stała nisko. Uważano ją za wielką tajemnicę i była uprawiana przez znawców alchemji zapomocą mniej lub więcej prymitywnych metod i bez wyjątku prawie bez długotrwałych wyników. Balsamowano wtedy tylko papieży oraz królów i książąt. Dopiero z nastaniem epoki Odrodzenia zaczęto opierać balsamowanie na naśladowaniu częściowem metody egipskiej. I tak Petrus de Argillata podaje, że papież Aleksander V, zmarły w Bolonji w 1410 r., został zabalsamowany przez sławnych lekarzy w następujący sposób. Po usunięciu wnętrzności z jamy brzusznej i piersiowej, wyczyszczono je alkoholem i wypełniono bawełną zmieszaną z wonnym proszkiem z myrry, aloesu, akacji, drzewa santałowego i t. p. Otwory naturalne jak usta, nos, uszy wypełniono również podobnie przyrządzoną bawełną, poczem zwłoki zawinięto w podwójne płótno, napojone woskiem i terpentyną, zaczynając zawijanie od nóg i rąk. Twarz następnie natarto wodą różaną.

W Polsce balsamowaniem ciał osób znakomitych zajmowali się chirurgowie, zwani dawniej cyrulikami, lub balwierzami przy pomocy aptekarzy. Posługiwano się przeważnie sposobem wyżej opisanym, przyczem często wyjmowano serce i osobno konserwowano. Tak np. oprócz innych licznych przykładów, wiadomo, że serce Jana Kazimierza jest dotąd zachowane w Paryżu, a Jana III Sobieskiego w Warszawie. Balsamowano wielu biskupów, między innymi w r. 1538 w Poznaniu, zabalsamowane zostały zwłoki Jana z książąt litewskich, biskupa wileńskiego, przez tamtejszych cyrulików, posiadających ten przywilej od 1517 roku; zwłoki biskupa przewieziono następnie do Wilna i pochowano w grobach biskupich katedry wileńskiej.

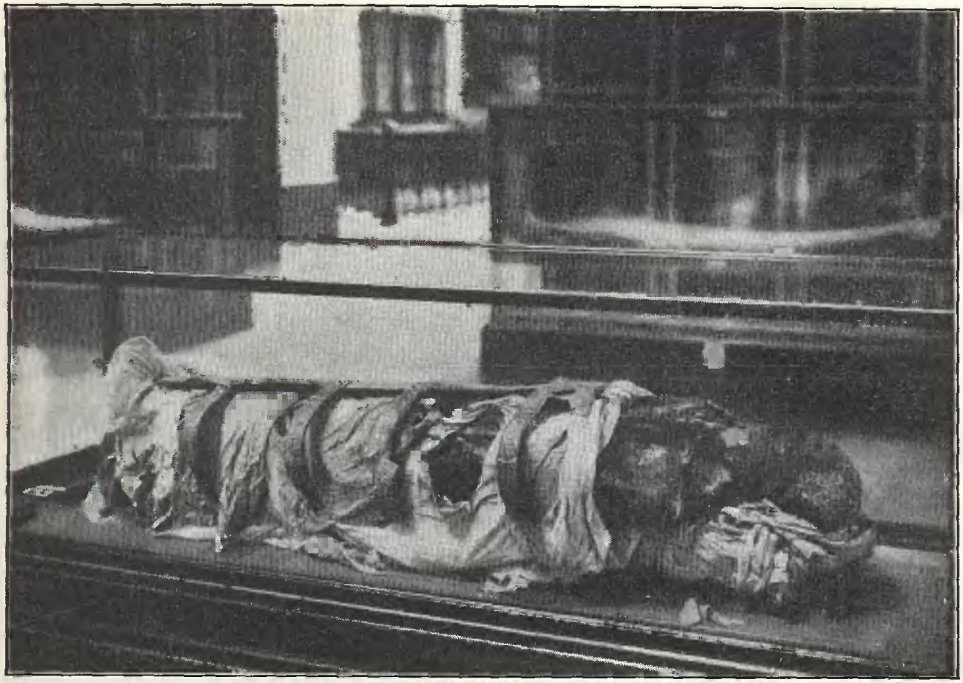

Mumja egipskiego dostojnika w muzeum w Kairze

Balsamowano również prawie wszystkich królów polskich, jak również bardzo wielu z pośród członków rodzin królewskich. Niestety balsamowanie to, jak wogóle wtedy w Europie, stało nisko i wystarczało tylko przeważnie na czas pogrzebu, który zależnie od ceremonji trwał niekiedy kilkanaście dni lub nawet kilka tygodni. Dowodem tego jest stan większości zwłok w grobach królewskich na Wawelu w Krakowie. W ubiegłem stuleciu otwierano kilkakrotnie groby królewskie przy sposobności odnawiania katedry i jej podziemi. Okazało się wtedy, że zaledwie niektóre z pośród zwłok królewskich są możliwie zachowane, jak np. zwłoki Stefana Batorego, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta; w innych trumnach znaleziono po większej części tylko kości, insygnia i resztki ubrania. W ostatnich latach w Krakowie otwierano groby Władysława IV, Zygmunta III, kardynała Jana Wazy, Cecylji Renaty, królowej Marji Ludwiki Gonzagi i trojga dzieci królewskich. Z tych najlepiej zachowane okazały się zwłoki kardynała Jana Wazy i królowej Marji Ludwiki Gonzagi, ale i te nieświetnie, jak to widać z załączonych fotografij.

Przewrotu w technice balsamowania dokonał Fryderyk Ruysch, znakomity anatom holenderski, żyjący w XVII i na początku XVIII wieku, przez wprowadzenie sposobu balsamowania zwłok, polegającego na nastrzykiwaniu tętnic płynem konserwującym. Ciała, przez niego balsamowane, nietylko zachowały się przez długi czas, ale robiły nawet na patrzących wrażenie osób, pogrążonych w głębokim śnie.

Podobno Piotr Wielki, car rosyjski, zwiedzając w r. 1698 muzeum anatomiczne tego sławnego uczonego, pogłaskał ręką pewnego nabalsamowanego chłopczyka, który zdawał mu się uśmiechać zupełnie jak żywy i który zachwycił go swoją pięknością. Również opowiadają o Ruyschu, że między innemi bardzo uszkodzone ciało admirała angielskiego Bercley'a poległego w r. 1666 w potyczce floty holenderskiej z angielską, doprowadził do zupełnej świeżości i dobrze zakonserwowane odesłał do Anglji. Niestety skład płynu, którym Ruysch nastrzykiwał tętnice, został przez niego zabrany do grobu i dziś jest nieznany.

Balsamowanie zwłok w dalszym ciągu interesowało bardzo wielu uczonych i wciąż się rozwijało. Jedną z przyczyn było, poza balsamowaniem osób znakomitych, umożliwienie dłuższego wystawiania niektórych zwłok na widok publiczny oraz przewozu ich nieraz do bardzo oddalonej miejscowości pogrzebu tak, by się zwłoki nie psuły. Drugą niemniej ważną przyczyną był rozwój uniwersytetów a przedewszystkiem rozwój prosektorjów anatomicznych i związana z tem konieczność dłuższego konserwowania zwłok potrzebnych do nauki anatomji.

Gannal, sławny uczony francuski w r. 1841, udoskonalił metodę Ruyscha, mianowicie balsamował zwłoki, nastrzykując je przez tętnicę szyjną płynami antyseptycznemi, poczem wyjmował wnętrzności z jamy brzusznej i klatki piersiowej i wypełniał jamy świeżo przyrządzonym, sproszkowanym węglem drzewnym. Od tego czasu rozpoczęło się doskonalenie płynu antyseptycznego do nastrzykiwania zwłok, postępujące równolegle z rozwojem chemji; używano w tym celu rozczynów ałunu, octanu glinowego, sublimatu, siarczanu cynku, chlorku cynku, kwasu azotowego, octanu drzewnego, tymolu i kwasu karbolowego. Rozmaitych naczyń krwionośnych używano też dla wprowadzenia płynu do ciała. Jedni wstrzykiwali przez tętnicę szyjną lub udową, inni przez tętnicę główną, wychodzącą wprost z serca tj. przez aortę.

Ogromne zasługi na tem polu położył nasz rodak, znakomity profesor anatomji w Genewie, Zygmunt Laskowski, ur. w Warszawie w r. 1841, uczestnik powstania 1863 r., po dziś dzień żyjący. Wprowadził on mianowicie w r. 1868 pierwszy do techniki balsamowania płyn, składający się głównie z gliceryny z dodatkiem odpowiedniej ilości kwasu karbolowego. Znaczenie obu tych składników dla balsamowania jest bardzo duże. Gliceryna odciąga wodę z tkanek, kwas karbolowy niszczy zarazki gnilne. Wstrzykuje on około 5 litrów tej mieszaniny do naczyń krwionośnych przez tętnicę szyjną lub aortę. Zasługi Laskowskiego przez wynalezienie tej metody są bardzo wielkie i to nietylko dla rozwoju techniki balsamowania, ale przedewszystkiem dla nauki anatomji w prosektorjach, która w ten sposób została ogromnie ułatwioną.

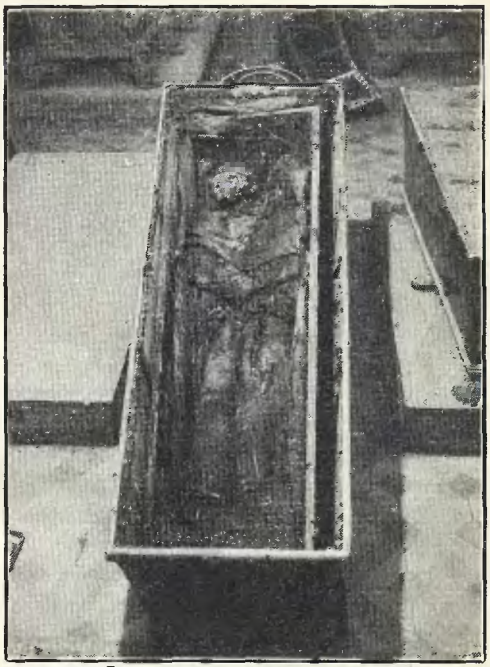

Sarkofag z ciałem kardynała Jana Wazy na Wawelu

Metodę Laskowskiego doskonalą inni czy to przez dołączenie do jego płynu sublimatu, czy alkoholu. Dopiero jednak przez wprowadzenie formaliny do techniki balsamowania, stanęło ono na obecnym poziomie. Formalina jest to 40% stężony roztwór wodny aldehydu mrówkowego t. zw. formaldehydu, który otrzymuje się przez utlenianie alkoholu metylowego. Działa ona trująco przedewszystkiem na niższe organizmy, oprócz tego działa wybitnie konserwująco na zwłoki, ponieważ posiada zdolność przekształcania ciał białkowych w ciała twarde, nierozpuszczalne w wodzie. Odznacza się ostrym, charakterystycznym zapachem.

Co się tyczy techniki dzisiejszego balsamowania zwłok nie uległa już ona w ostatnich dziesiątkach lat poza udoskonaleniem płynu konserwującego, żadnym większym zmianom.

Po ułożeniu zwłok na odpowiednim stole albo odsłania się na szyi tętnicę szyjną, albo, zwłaszcza gdy chodzi o dokładniejsze nabalsamowanie, otwiera się wejście do

aorty. W celu jej odsłonięcia przecina się skórę na mostku, przepiłowuje się go wzdłuż i odchyla się otrzymane dwie połowy mostka od siebie, na szerokość dłoni, osłoniwszy starannie brzegi ręcznikami i wklinowując dla ustalenia tego rozszerzenia drewniane widełki. Owinięcie brzegów mostka czemkolwiek jest konieczne, gdyż zabezpiecza ono przed skaleczeniem się, od którego się nie uchronił sławny polski anatom, prof. Kadyi przy balsamowaniu w r. 1910, zwłok zasłużonego męża stanu hr. Stanisława Badeniego w Radziechowie. Wskutek tego skaleczenia Kadyi zmarł w kilka dni potem na zakażenie krwi.

Następnie wyciąga się ku przodowi serce i otwiera się lewą komorę. Po wyczyszczeniu jej, jakoteż aorty ze skrzepów krwi, wkłada się do aorty rurkę szklaną lub metalową, t. zw. kaniulę i przywiązuje się ją mocno dwiema tasiemkami, z których narazie zaciąga się tylko jedną, wprowadziwszy obie w tym celu przez zatokę poprzeczną serca. Kaniula połączona jest zapomocą węża gumowego z dużem kalibrowanem naczyniem, mającem otwór u dołu. Do naczynia wlewa się płyn konserwujący, będący mieszaniną formaliny, gliceryny, kwasu karbolowego, sublimatu i czystego alkoholu w ściśle określonym i przepisanym stosunku. O ile zwłoki są sine, dobrze jest, przed rozpoczęciem wlewania właściwego płynu, przepłókać naczynia krwionośne 2-ma litrami czystej wody. Woda z naczyń tętniczych przez naczynia włoskowate dostaje się do żył i z niemi do prawej komory, wypłókując po drodze skrzepłą krew; po oczyszczeniu prawej komory, którą w tym celu również trzeba otworzyć, podwiązuje się żyły, do niej dochodzące.

Teraz rozpoczyna się właściwe wlewanie płynu do aorty. Naczynie, wypełnione płynem konserwującym, trzyma pomocnik na pewnej wysokości, niżej lub wyżej, regulując w ten sposób ciśnienie. Płynu wprowadza się około 5 litrów, co mniej więcej powinno się równać $^1/_{10}$—$^1/_{12}$ wagi ciała zmarłego. Odrazu skóra zaczyna nabierać innego wyglądu, a, rozpoczynając od twarzy, zaczynają się pojawiać białe plamy i centki, które delikatnie należy rozcierać. Pod koniec wlewania masuje się całe zwłoki, głównie twarz i kończyny, w tym celu, żeby płyn wszędzie doszedł, co jest ogromnie ważną rzeczą. O ile nie można się o tem przekonać na oko po wypełnianiu się naczyń, można w tym celu przeciąć skórę na palcach rąk i nóg i przekonać się, czy płyn wydostaje się tam na zewnątrz kroplami. W razie niedojścia płynu do jakiejś kończyny, co jest możliwe w powodu zatkania się naczyń skrzepami krwi, trzeba ją potem osobno dostrzykiwać.

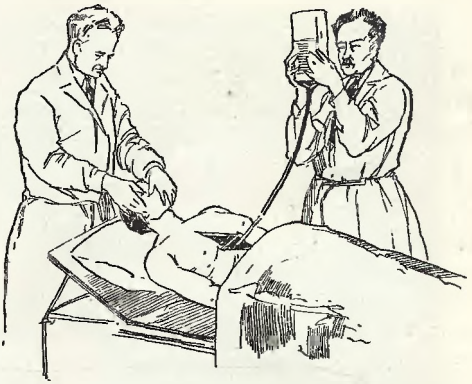

Balsamowanie nowoczesne zapomocą płynu konserwującego

Wlewanie płynu trwa zwykle kilka godzin, dobrze jest nawet zrobić w czasie tego przerwę kilkugodzinną dla lepszego rozejścia się płynu.

Wreszcie wyciąga się kaniulę z aorty, zaciągając równocześnie drugą tasiemkę, potem podwiązuje się przełyk, zdejmuje się drewniane widełki, ściąga się obie połowy mostka drutem i w końcu zeszywa się skórę.

Powierzchnia zwłok po balsamowaniu jest twarda, zwłaszcza mięśnie i kończyny, również mięśnie twarzy ostro się zaznaczają i twarz nabiera wyglądu prawie człowieka żyjącego.

Kończy się balsamowanie natarciem całego ciała białą waseliną, a twarzy — rozmaitemi pachnącemi olejkami, czasem zaś w razie potrzeby poprawia się wyraz twarzy odpowiedniemi szminkami i barwikami lub wstawia się nawet sztuczne oczy.

Narzędzia, używane dziś przy balsamowaniu, są bardzo proste, składają się one mianowicie z kompletu anatomicznego noży, gąbki i dużego szklanego naczynia ka-

librowanego z wężem gumowym, długości około 2 m., wraz z kaniulą.

Zaletą tego sposobu balsamowania w porównaniu z dawnemi jest wnikanie płynu konserwującego do najodleglejszych rozgałęzień tętniczych i żylnych, i wchodzenie w związki chemiczne z wszystkiemi komórkami ciała tak, że, o ile płyn wszędzie doszedł, żadna część ciała nie może ulec gniciu.

W prosektorjach anatomji opisowej dla celów dydaktycznych używa się dziś podobnego, ale zupełnie prostego i taniego, sposobu konserwowania zwłok. Mianowicie wprowadza się tam do naczyń krwionośnych przez tętnicę szyjną około 5 litrów 5% roztworu wodnego formaliny. Ta ilość najzupełniej wystarcza do zachowania zwłok nawet latami.

Przez długi czas uważano egipski sposób balsamowania za najlepszy i sądzono, że mumje egipskie na wieki są zakonserwowane. Jednakże wiele już mumij, nawet w muzeach przechowywanych, z powodu psucia się musiano z muzeum usunąć, zwłaszcza o ile przedtem odwinięto zwłoki z opasek je pokrywających. Tak np. w r. 1830 musiano usunąć odrazu kilka mumij z muzeum egipskiego w Luwrze, z powodu nieznośnej woni, która powstawała skutkiem ich rozkładu. Wreszcie wiele już mumij czas zniszczył w samych grobowcach.

Obecna metoda balsamowania zwłok lepsza jest po części od egipskiej z kilku powodów. Nie potrzeba otwierać całego ciała i wyjmować wnętrzności, wystarcza tylko odsłonięcie naczynia krwionośnego. Nie zmieniają się rysy zmarłego, ani kolor ciała, owszem, przy umiejętnem postępowaniu można nadać zmarłemu wyraz uśpionej osoby. Zamiast zwłok poniekąd zniekształconych otrzymuje się tym sposobem zwłoki z wyrazem twarzy prawie naturalnym. Zamiast 70 dni, których potrzebowali Egipcjanie do zabalsamowania zwłok, teraz potrzeba tylko kilku godzin, a również koszta balsamowania są bez porównania mniejsze. Co się tyczy jednakże trwałości balsamowania, to, być może, że egipska metoda, dobrze przeprowadzona, jest wyższa, gdyż zdała ona egzamin z górą 30-stu wieków, a dopiero przyszłość wykazać może wartość metody, dziś powszechnie stosowanej.

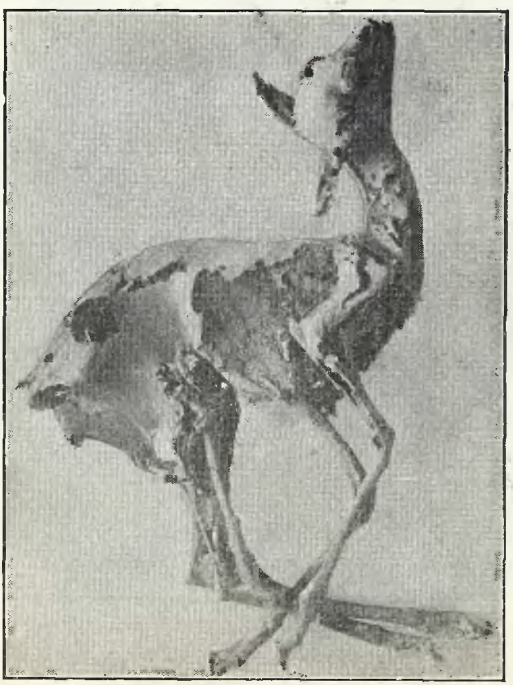

Mumja gazeli

rys. Walentynowicz

Wiosna na biegunie

Honolulu

⟨Kartki z podróży⟩

Trzecia co do wielkości w grupie wysp Hawai czyli Sandwich wyspa Oahu jest pierwszą pod względem ważności.

Na Oahu leży Honolulu, stolica wysp Hawajskich i główna baza amerykańskiej marynarki wojennej na Pacyfiku: — Pearl Harbor Naval Station.

W głębi wyspy w Schofield Barracks stoi znaczny oddział wojsk wszystkich broni.

Oprócz tego na Oahu znajdują się olbrzymie instalacje radjotelegraficzne, należące do Naval Communication Service, do armji i do Radio Corporation of America; stacja kablowa Commercial Pacific Cable Company, konsulaty wszystkich państw, agencje wszystkich linij okrętowych Oceanu Spokojnego, trzy fabryki konserw ananasowych, osiem rozległych plantacyj trzciny cukrowej, liczne fortyfikacje, linje kolejowe, znakomite szosy, parki i hotele, osiedle i katedra Mormonów w Laïe, wreszcie dwieście pięćdziesiąt z górą tysięcy mieszkańców najrozmaitszych ras i narodowości, nie licząc garnizonu marynarki i wojska lądowego.

Sama wyspa jest dość rozległa, ma około 100 klm. długości na 50 szerokości.

Cała grupa wysp Hawajskich jest pochodzenia wulkanicznego.

Na Oahu świadczą o tem liczne kratery wygasłych wulkanów, formacje lawy i inne ślady niegdyś burzliwej przeszłości wulkanicznej.

Wzdłuż południowo zachodniego i północno wschodniego wybrzeża biegną dwa łańcuchy gór o średniej wysokości 2000—3000 stóp.

Najwyższym punktem jest Kaala—4030 stóp.

Góry te są bardzo urwiste i przedstawiają dużo ciekawych objektów dla amatorów alpinizmu.

Wspinaczka na niektórych partjach jest niebezpieczna bez przewodnika i wymaga znacznego doświadczenia.

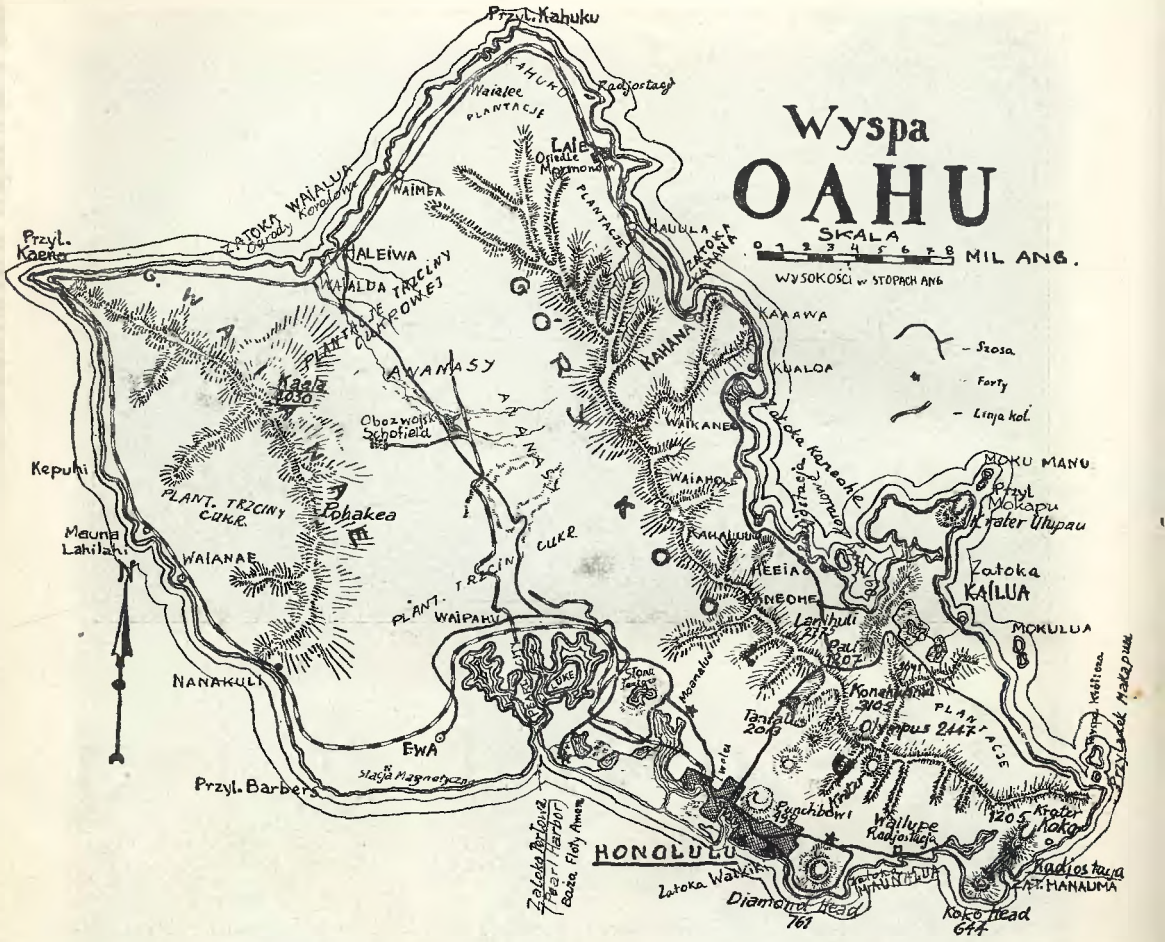

Pomiędzy temi łańcuchami porośniętemi gęstym niskim lasem leży szeroka płaskowyżyna zajęta przez wielkie plantacje trzciny cukrowej i ananasów.

Linja brzegowa jest dość rozwinięta, szczególnie w części południowo wschodniej.

Większa jej część jest okolona rafami koralowemi.

Rafy te, częściowo wynurzające się podczas odpływu, tworzą miejscami cudowne ogrody koralowe.

Znane z tego są zatoki Kaneohe i Waiaula.

W tej ostatniej, w Haleiwa, które jest miejscem odpoczynku dla oficerów z obozów Schofield, są specjalne łodzie ze szklanemi dnami, pozwalające podziwiać bezpośrednio cuda bujnego życia podwodnego.

Jednym z ulubionych sportów na Oahu jest łowienie ryb wielką siecią na włok w płytkich wodach przybrzeżnych — tak zwane „huki-lau".

Rezultaty są niezwykle obfite, sam połów malowniczy, a ryby zadziwiające pod względem ilości gatunków, piękności, ubarwienia i dziwaczności kształtów.

Prawdziwe motyle wodne.

W parku Kapiolani w Honolulu jest akwarjum jedyne na cały świat, w którem można oglądać całe stada ryb, krabów, raków i innych stworzeń morskich.

Wyspy te żyją i oddychają oceanem.

Większość chwil wolnych spędza się w wodzie lub na wodzie.

Oryginalnością ściśle miejscową jest tak zwany „planking", to jest jazda stojąc lub leżąc na specjalnie wyrobionych deskach pędzonych falami przyboju wysoko wzbierającemi na mieliźnie raf przybrzeżnych.

Mieszkanki Oahu

Dla amatorów sportów lądowych, oprócz turystyki górskiej Oahu ma znakomite tereny do golfa, liczne boiska sportowe i korty tennisowe, plac wyścigowy i t. d.

Całe dzielnice małych cottage tonących w bujnie kwitnących krzewach i ocienionych palmami, oczekują przyjeżdżających na zimowe miesiące „letników" z Ameryki i Kanady.

*

Oahu zamerykanizowało się zupełnie.

„Stars and Stripes" powiewa wszędzie.

Ostoja panowania nad Pacyfikiem, Pearl Harbor, dymi dziesiątkami swych kominów, wzdłuż kamiennych cembrowin wojennego portu leżą obłe cielska statków wojennych, wielkie doki huczą i dzwonią setkami pracujących młotów.

Wysokie omasztowania radjostacji po nocach iskrzą się niebieskawem światłem nadawanych depesz.

Lecz gdzieś głęboko i głucho toczy się ciągła walka o wyspy te między Amerykanami a Japonją.

Często wykonywane są tu i na Filipinach spiski i afery szpiegowskie na rzecz Japonji.

Pomimo to ilość ludności japońskiej stale wzrasta.

Każdy statek, przybywający z Japonji, wyrzuca na brzeg portu w Honolulu kilka dziesiątków emigrantów nippońskich.

Są sklepy, hotele i całe dzielnice japońskie.

Nawet całe osady rybackie, jak Waianae, gdzie co rano w morze wypływa flotylla zampanów japońskich.

Przynoszą ze sobą i zachowują strój, obyczaje, mowę, budują domki na wzór własny, osiedlają się gdzie i jak mogą.

Japonja przeludnia się, a emigrant japoński szuka sobie po świecie warunków najbardziej odpowiadających.

Potrzebuje łagodnego klimatu, morza i natury zbliżonej do tej, która go wyhodowała, aby móc osiąść.

Nie pójdzie więc do surowej Korei ani Mandżurji, ale żywiołowo pcha się na Filipiny, Hawai i do Kalifornji i trzyma się tam z japońskim uporem.

Piękność tubylcza

Typowy gaj palmowy: nad brzegiem morza krótka, zbita trawa, — pnie palm wychylone w stronę światła. Na pniu palmy piękność importowana z Ameryki w miejscowej spódniczce z rafji

Element miejscowy, polinezyjski, uległ dziejowemu losowi rasy słabszej.

Fizycznie i moralnie jedna z najpiękniejszych ras świata obecnie wygasa powoli.

Przybycie Europejczyków było dla nich wyrokiem śmierci, tak samo jak dla tylu ludów, które niegdyś zamieszkiwały Antylle, Amerykę, Tasmanję.

Rasowi polinezyjczycy wysokiego wzrostu, jasno-bronzowi aż prawie zupełnie biali, ślicznej budowy.

Oczy ładnie wycięte, włosy czarne i gładkie, nos prosty, twarz owalna, usta trochę grube.

Kiedyś byli znani z waleczności i szlachetności.

Zmieniły się jednak czasy od ostatniej wielkiej bitwy w 1795 roku na przełęczy Nuuanu Pali, kiedy wojownicy kamehameh'y zwyciężyli Oahuańczyków i tysiące strąconych trupów usłały dno przepaści pod Pali.

Dziś zostały tylko gdzieś w dolinie Manoa i w okolicach Wailupe stare heïaus — świątynie hawajańskie.

Dojście do nich łatwe; parę kilometrów dobrą drogą pod górę, potem trochę wdrapywania się na skały.

Są to płytkie jaskinie, w których wiecznym snem śpią starzy wodzowie w swoich smukłych łodziach z poczerniałego drzewa Koa.

Niektóre z tych łodzi rozsypały się ze starości i próchno drzewa leży pomieszane z kośćmi pomarłych.

Inne znów zachowały się dobrze i szczerzą z ciemności swoje czarne, zakrzywione dzioby wysadzane muszelkami i masą perłową.

Nikt ich nie pilnuje — lecz też nikt ich nie rusza.

Zrzadka zajrzy tylko jakiś turysta.

Historja ich zaciera się i wyradza razem z potomkami.

Hawajczycy są bardzo muzykalni i przy każdej okazji lubią śpiewać i tańczyć.

Sam język ich jest bardzo melodyjny i liczne pieśni ludowe uwydatniają jego rozlewność. Pieśni te są przeważnie tęskne i sentymentalne, śpiewane są przy akompanjamencie „ukulele" — czegoś w rodzaju małej gitary.

Młode dziewczyny hawajskie śpiewają chóralnie i tańczą „hula-hula" dla uciechy zwiedzających.

Widziałem taki występ w ogrodzie palmowym nad brzegiem zatoki Waikiki w japońskim hotelu Moszizuki.

Kilku młodych inżynierów amerykańskich zamówiło sobie grono tancerek i kiedy pod wieczór wróciłem z wycieczki na Tantalus, zastałem widowisko w toku.

Na gęstej, zbitej murawie siedzi sześć rosłych i zgrabnych dziewczyn ubranych w wieńce z kwiatów.

Dyryguje niemi siódma, starsza wyglądem i wiekiem.

Śpiewają na głosy; ukulele cicho i dyskretnie towarzyszą melodji.

W zmroku, gdzieś zupełnie blisko wzdychają fale, które przychodzą umierać na srebrzystym piasku wybrzeża.

Suche, sztywne liście palm papierowo szeleszczą nad nami.

Z wnętrza domu, gdzie siedzą widzowie, przez rozsunięte ściany pada światło na pnie, okalające polankę.

Wielkie różowe kwiaty, któremi kwitną krzaki, wypełniające głąb lasu, pachną słodko w parnem powietrzu wieczoru.

Śpiew jest tak zharmonizowany z miękkością półtonów otoczenia, że nie odbija niczem od tła.

Wplata się tylko subtelnie w nastrój nocy i razem z nią czaruje i zachwyca.

Melodja kończy się przeciągłą nutą.

Zaczynają się tańce.

Cztery hawajanki tańczą hula hula w takt muzyki ukulele i śpiewu.

Namaszczona olejkiem kokosowym skóra mieni się refleksami, padającemi na pełne okrągłe ramiona.

Girlandy kwiatów i wiotkie sukienki z rafji kołyszą się w takt solennego z początku tańca.

Ruchy nabierają jednak temperamentu w miarę gorętszego tempa muzyki.

Na widownię wypływa dyskretnie whis y, dotychczas ukryte ostrożnie z powodu prohibicji.

Dziewczęta też popijają, jedna nawet wprost z butelki.

Po godzinie tańczą nago.

Atmosfera staje się duszna i niespokojna.

Gdzieś bokiem przeciąga burza i na horyzoncie „łyska się"—jak mówią u nas w Polsce.

Moskity stają się natrętne i dym z fajki nie pomaga.

Jeden z widzów wplata się krąg tancerek i, niezgrabnie naśladując ich ruchy, tańczy jakiś groteskowy taniec brzucha.

Towarzyszy mu niezgrany chór śmiechu mężczyzn i chichotanie dziewczyn.

Próbuje objąć jedną z tancerek, która mu się chętnie poddaje.

Koło rozpada się i taniec rozpływa się gdzieś w ciemnościach śród pachnących krzewów.

Ukulele milkną, zmieszane głosy męskie i kobiece oddalają się i cichną.

Z pod palmowych drzew wynurzają się ukradkiem chmury, cicho gasząc jedną po drugiej gwiazdy.

Hula-hula skończone.

Mała służąca Japonka zasunęła „szodzi" i na pustą już polankę padł cień od drewnianych krat oklejonych papierem.

Obok w korytarzu sam Moszyzuki-san głośno targował się o cenę przedstawienia

Wichura na Oahu zwiastuje zbliżanie się burzy tropikalnej

ze starszą z dziewczyn, która domagała się naddatku za whisky, za „extra" tańce i za nadprogramową resztę.

Zgoda nastąpiła prędko; i tak goście zapłacą.

Zaszeleściły dolary.

Somerset Maugham w jednem ze swoich opowiadań z mórz południowych powiedział, że są miejsca otoczone zdala aureolą romantyczności. Poznanie ich nieuniknienie wywołuje rozczarowanie, lecz to rozczarowanie doznane dodaje im specjalnej ostrości w smaku.

Człowiek oczekuje czegoś całkowicie pięknego, a zamiast tego doznaje szeregu skomplikowanych uczuć, jakich żadne proste piękno dać nie może.

Nazwałbym to skłonnością do perwersji, lecz właśnie w ten sposób rzecz się ma z wrażeaniami, jakich się doznaje w Honolulu.

Na tle prześlicznej wyspy i cudownego oceanu widzi się skarlenie i spotwornienie jednego życia, narosłą nań nagle teraźniejszość pozbawioną jeszcze piękna tradycji, i wyczuwa się ukryte w tem wszystkiem gdzieś głęboko jutro zupełnie nieodgadnione.

Czem będą kiedyś te wyspy samotnie cisnięte na środek oceanu?

Czy nie na nich spełni się fantazja Wells'a o miastach rozkoszy?

*

Dziś jednak lepiej nie patrzyć na hawajczyków odzianych w spodnie i hawajanki w suknie misjonarskie kroju „Mother Hubbard", podobne do luźnych koszul nocnych zapiętych pod szyję.

Na tych ciałach z jasnego złota wydaje się to bluźnierstwem.

Lecz trudno — to cywilizacja.

Kwitnie ona bujnie w porcie, gdzie się tłoczy niemożliwa mieszanina ludów.

To jest miejsce zetknięcia się wschodu i zachodu, wielka karczma na rozstaju błękitnych dróg wodnych.

Obok portu jest czyściutka dzielnica o prosto biegnących ulicach zabudowanych małemi domkami w ogródkach.

Wieczorem rzadkie latarnie wskazują drogę a w oświetlonych oknach siedzą kobiety.

Mężczyźni wszystkich ras i narodowości, jakie obsiadły brzegi Pacyfiku, przechadzają się zwolna pod oknami, z pod przymrużonych powiek wyszukując tej, która wywoła w nich odruch decyzji.

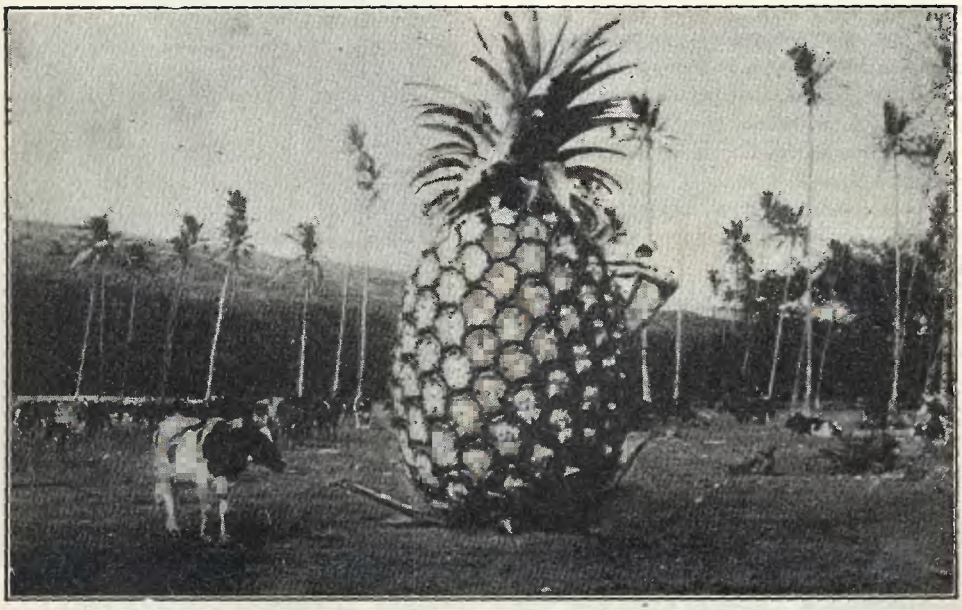

Szczęśliwy kraj, gdzie rosną takie ananasy! *(figiel fotograficzny)*

To tak romantycznie nazwane Iwelei.

Dziś podobno tę dzielnicę skanalizowanego grzechu zlikwidowano już.

Lecz grzech pozostał.

*

Kiedy pilot w białem ubraniu opuścił „Shinyo Maru" wywiódłszy go na bezpieczne głębiny oceanu z pośród raf Oahu, żegnałem błękitniejącą coraz bardziej w oddaleniu wyspę bez żalu.

Rozwiały się razem z nią sny mórz południowych, zamknęła się cała dziedzina złudzeń i pozostało jedno więcej rozczarowanie.

Jan Kowalewski.

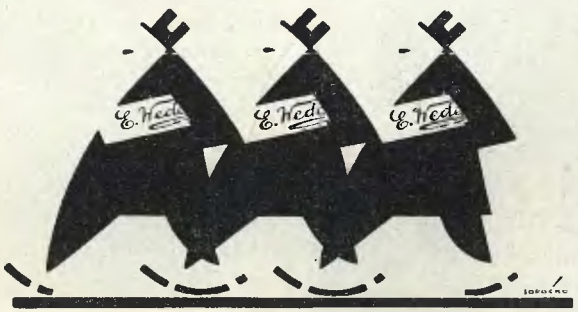

CZEKOLADĘ MLECZNĄ
O DUŻEJ ZAWARTOŚCI MLEKA
POLECA
E. Wedel
WARSZAWA

Drobne wynalazki

Tegoroczna zima surowa i mglista daje się we znaki we Włoszech, Hiszpanji i Francji. Szczególniej ta ostatnia została nawiedzona przez mgły niebywałej gęstości, co spowodowało liczne uszkodzenia sieci elektrycznych przez wilgotne opady, a więc i ustawiczne przerwy w działaniu światła elektrycznego. W związku z powyższemi przykrościami pewien wynalazca wypuścił na rynek zbiornik do gazu acetylenowego pod ciśnieniem, z małym palnikiem i zwykłym kloszem.

Zbiornik ten może być łatwo przenoszony z miejsca na miejsce. Dając światło cztery razy silniejsze od zwykłej lampy naftowej przy niższym koszcie oświetlenia, jest on możliwie bezpieczny i wygodny w użyciu, gdyż ładunek gazowy wystarcza na kilka godzin. Prosty ten przyrząd uzyskał odrazu we Francji popularność.

*

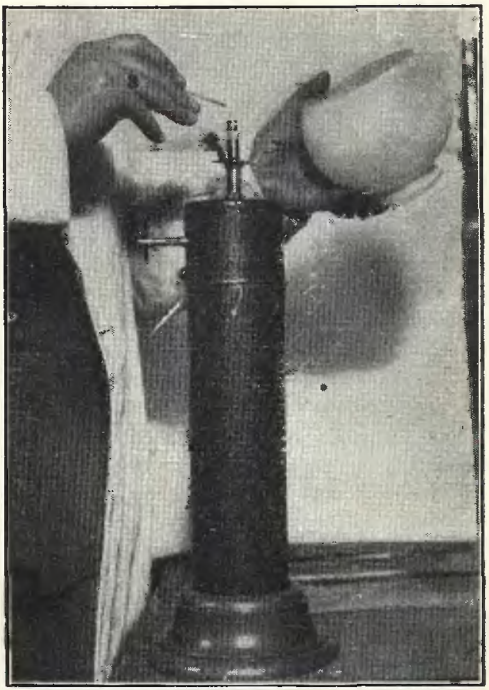

Palnik acetylenowy

Również francuskim wynalazkiem jest przedstawiony tu zamek do wagonów towarowych, mający na celu położenie kresu drobnym kradzieżom towaru, zdarzającym się często na stacjach podczas postoju pociągu.

Kombinacyjny zamek wagonowy

Zamek zaopatrzony jest w bloczek, na którym pracownicy kolejowi notują za każdym razem czas, miejsce i cel otwarcia wagonu, jak również swoje nazwisko. Poza tem istnieją cztery guziki, które należy odpowiednio nastawić, aby drzwi wagonu mogły otworzyć się, i za pomocą których następuje automatyczna rejestracja czasu otwarcia. O ile zatem wagon był w podróży otwierany tylko przez powołane osoby, notatki bloczku odpowiadają datom zarejestrowanym. W przeciwnym razie zjawia się niezgodność, i administracja kolejowa łatwo może określić czas i miejsce popełnionego nadużycia.

*

Oryginalnym wynalazkiem, jakkolwiek narazie bez większego praktycznego zastosowania, jest turbinka, dająca wprost niewiarogodną ilość obrotów, a mianowicie 11.000 na sekundę! Ponieważ nie posiadamy łożysk, dopuszczających podobnie zawrotną szybkość, wynalazcy, — którymi są E. Henriot i E. Huguenard, z paryskiego Konserwatorjum Sztuk

Rzemiosł — zastosowali tu zupełnie inną metodę. Część ruchoma turbinki (rotor) posiada stożkowy wierzchołek o średnicy 11 milimetrów. Takież stożkowe zagłębienie ma część nieruchoma (stotor), połączona z przewodem, doprowadzającym sprężone powietrze. Poza tem ścianka stożkowej komory zaopatrzona jest w szereg wylotów, skierowanych nie prosto, lecz pod kątem. Sprężone powietrze, wydostając się temi wylotami, uderza w maleńkie nacięcia, znajdujące się na stożkowej powierzchni rotoru. Wystarcza to, aby nadać ostatniemu ruch obrotowy.

Maszynkę puszcza się w ruch w ten sposób, że otwiera się dostęp sprężonego powietrza, wkłada się rotor do komory, przytrzymując go w ciągu kilku sekund. Gdy rotor nabierze już właściwej prędkości, sam utrzymuje się w pozycji. Jedynem praktycznem zastosowaniem turbinki, jak dotychczas, jest użycie jej w charakterze wirówki do oddzielania substancyj mało różniących się gęstością.

Wynalazcy pracują obecnie nad rozszerzeniem terenu zastosowania swego wynalazku w dziedzinie przemysłu. *Z — k.*

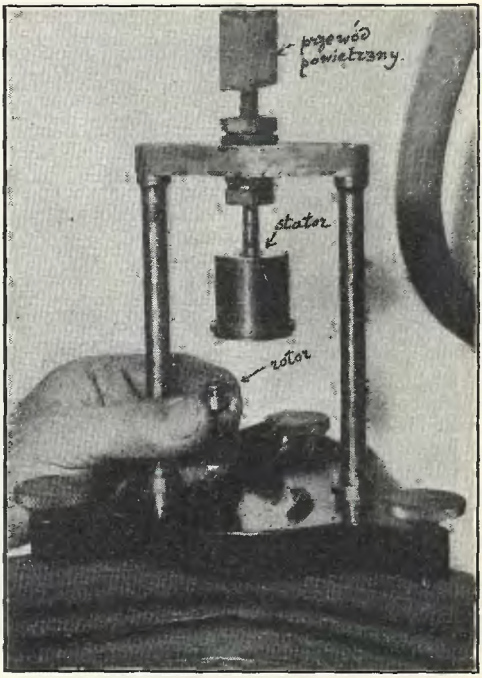

Turbinka o 11.000 obrotów na sekundę

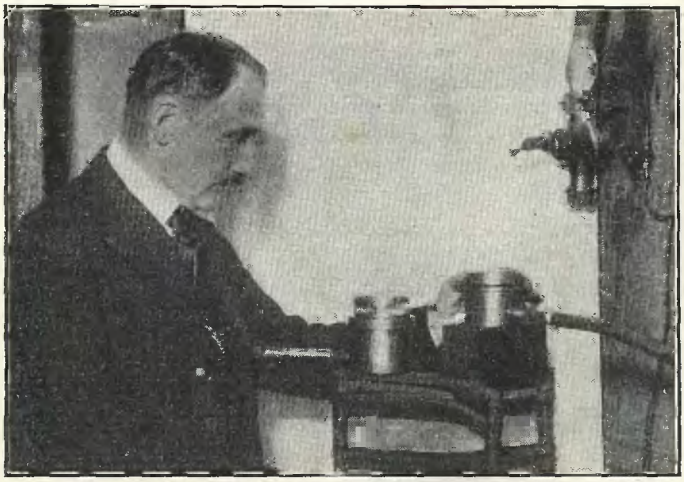

Zastosowanie turbinki jako wirówki

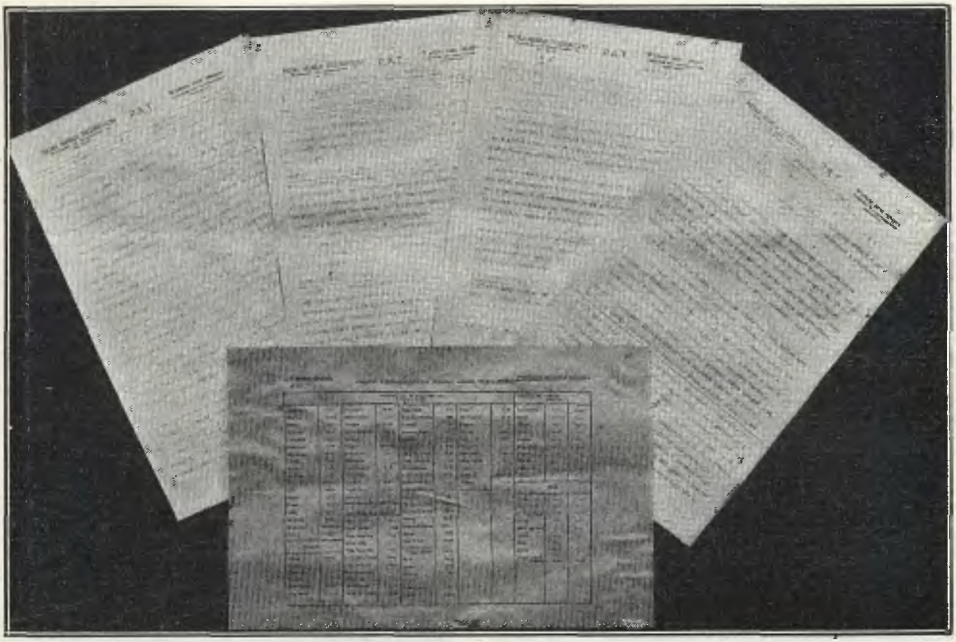

Ucho świata

⟨Służba prasowo-informacyjna⟩

Napisał

B. Szarlitt

Przeciętny czytelnik gazet nie zwraca zazwyczaj uwagi na podawane w nich *„źródło"*, z którego dana wiadomość jest zaczerpnięta. Wie coś nie coś o jakimś „Pacie" lub „A. W", tu i ówdzie wpadnie mu przelotnie w oko wzmianka: „Jak podaje Agencja Havasa" albo „Biuro Reutera" czy też „Biura Wolffa", nie zastanawia się jednak nad tem, co to jest *takie* „Biuro".

Otóż jeśli słusznie nazwano prasę „echem świata", to stała się ona niem dopiero dzięki przedsiębiorstwom, którym przypadła poniekąd rola jej „narządu słuchowego": t. zw. *ajencjom* lub też *biurom telegraficznym*. Wprawdzie każdy prawdziwie wielki dziennik utrzymuje we wszystkich centrach światowych swoich *własnych korespondentów*. Ale ci przy najlepszej chęci i jaknajwiększym wysiłku nie są już fizycznie w możności dostarczania mu całego, wprost gigantycznego materjału informacyjnego. Dzienniki mniejsze zaś nie mogły wprost istnieć bez pomocy biur telegraficznych.

Jak już wskazuje sama nazwa, biura te pozostają w ścisłym związku z telegrafem. To też stały się one, w swem dzisiejszem znaczeniu, dopiero możliwe z chwilą, gdy wynaleziono ten cudowny aparat. Aż do owej chwili prasa jako taka znajdowała się poniekąd jeszcze w powijakach. To bowiem, co stanowi jej główną arterję życiową, a mianowicie zdobywanie wiadomości z całego świata, połączone było z niezmiernemi trudnościami, a w dodatku mijało się z właściwym swym celem, gdyż rezultat był zawsze *spóźniony*. Już wówczas jednak okazało się,

Dyrektor „Pata" Piotr Górecki i jego sekretarze

że prasa obejść się nie mogła bez pomocy specjalnego biura, które dostarczało jej informacyj. *Pierwszem* takiem biurem w Europie była sławna po dziś dzień *paryska „Ajencja Havasa"*. Założył ją w 1830 r. *Garnier*, do rozkwitu zaś doprowadził Charles *Havas*, którego też uważać należy za ojca nowoczesnej *prasowej służby informacyjnej*. On bowiem był pierwszym, który zrozumiał o co właściwie chodziło.

Na długo przed wynalazkiem telegrafu, Havas wszelkich dokładał starań o szybkie zaczerpywanie wiadomości ze wszystkich stron świata i dostarczanie ich dziennikom i to nietylko francuskim, ale i obcokrajowym. Posługiwał się koleją, pocztą, a nawet *gołębiami* pocztowemi, zaś kiedy udało się wynaleźć *telegraf optyczny*, także i tym aparatem.

Czem Havas dla Francji, tem w dwadzieścia lat później stał się dla *Niemiec* Dr. Bernhard *Wolff*, założyciel największego do dziś dnia *biura telegraficznego w Berlinie*. Dopiero w dziesięć lat później powstało w *Londynie* sławne po dziś dzień *„Biuro Reutera"*. Dziwnym a zarazem znamiennym trafem, wszyscy trzej pionierzy tak wysoko dziś rozwiniętej telegraficznej służby prasowo-informacyjnej byli — żydami.

W niesłychanie szybki sposób służba ta rozwijała się od chwili gdy do telegrafu przybył *telefon*. Za przykładem Francji, Niemiec i Anglji poszła z czasem i reszta krajów europejskich. A jak w licznych innych dziedzinach, tak i w służbie prasowo-informacyjnej *Ameryka* wkrótce prześcignęła nasz kontynent. To też *prasa amerykańska* bez porównania wyżej dziś stoi od europejskiej. Doszło tam bowiem z czasem do tego, że przedsiębiorstwa prasowo-informacyjne dostarczają dziennikom całego świata już nietylko wiadomości, ale *gotowych artykułów, wywiadów* z wielkimi *mężami stanu i ekonomistami*, rozprawek *naukowych, opisów podróży* i t. p.

Zrozumiawszy doniosłe znaczenie służby prasowo-informacyjnej, rządy niektórych krajów założyły *państwowe biura telegraficzne*, by posługiwać się niemi dla celów *politycznych*, bądź też zawarły umowy z istniejącemi ajencjami prywatnemi, które w t. zw. *półoficjalny* sposób spełniają tosamo zadanie, co tamte. Liczba tych prywatnych ajencyj na całym świecie wzrasta wciąż, a niektóre

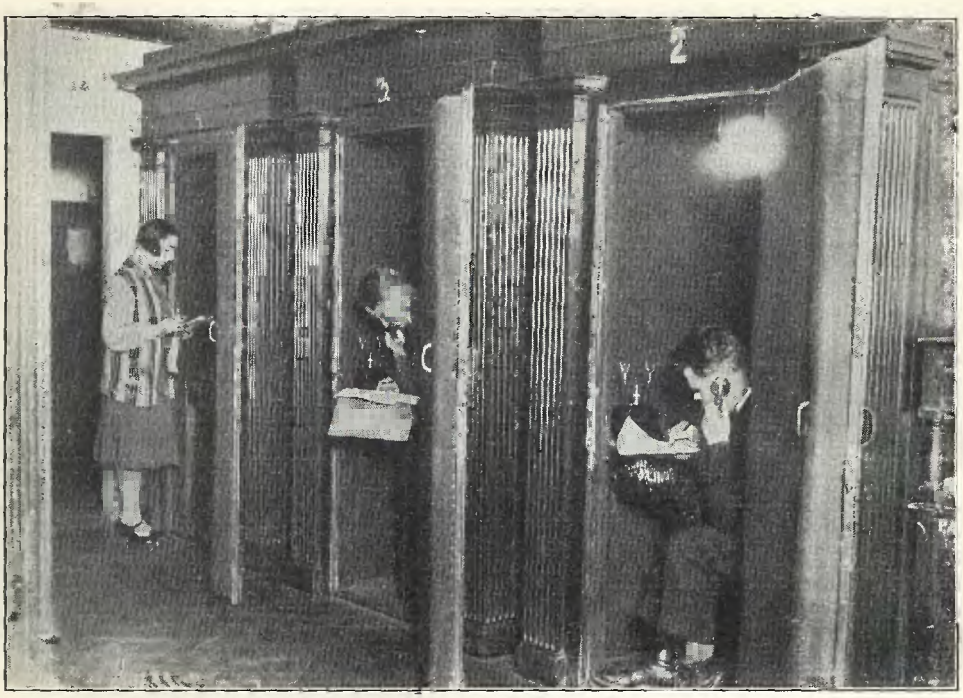

W celach telefonicznych „Pata"

z nich uprawiają pewną *specjalną* gałąź służby informacyjnej. Wszystkie zaś biura telegraficzne — nie wyłączając oficjalnych — nie ograniczają swej czynności bynajmniej tylko do obsługiwania *prasy*, lecz dostarczają informacyj *urzędom, bankom, przemysłowi i handlowi*, oczywiście za odpowiednią *opłatą*. Zupełnie bowiem taksamo jak gazetę, można *prenumerować* wszystkie wydawnictwa biur telegraficznych. Redakcje dzienników są również tylko prenumeratorami tych wydawnictw. Biura te zajmują się wreszcie także na szeroką skalę pośrednictwem w zamieszczaniu *ogłoszeń* we wszystkich pismach całego świata.

W jakiż sposób ajencje telegraficzne *zdobywają* materjał informacyjny i *dostarczają* go swym prenumeratorom? Chcąc na to pytanie dać odpowiedź, zapraszamy czytelników naszych do zwiedzenia razem z nami *dwóch największych* tego rodzaju instytucyj w Polsce, a mianowicie *„Polskiej Agencji Telegraficznej"* (zwanej w skrócie „Pat") oraz *„Ajencji Wschodniej"* (skrócona forma: „A. W.").

Zanim jednak wybierzemy się w drogę, musimy pomówić nieco o *genezie* tych instytucyj. Jak wszystko inne w Polsce Odrodzonej, musiały i one dopiero być stworzone z chwilą, gdy odzyskaliśmy naszą wolność. Nie było to oczywiście zadanie łatwe, zwłaszcza jeśli się zważy, że chodziło przedewszystkiem o *nawiązanie kontaktu* z całym światem, który dopiero „przyzwyczaić się" musiał do istnienia — wolnej Polski. W latach niewoli naszej nie posiadaliśmy w żadnym z trzech zaborów nawet prywatnej ajencji telegraficznej. Prasa polska skazana była — prawie wyłącznie — na informacje, udzielane jej przez biura rządów zaborczych. Nawet dawna Galicja, która pod tyloma względami większą cieszyła się swobodą niż Królestwo i Poznańskie, w dziedzinie informacji prasowej zależna była wyłącznie od t. zw. „C. K. Biura Korespondencyjnego" w Wiedniu.

Pierwsze rządy nasze nie okazały niestety zbyt wielkiego zrozumienia dla doniosłości takich biur informacyjno-prasowych. Dlatego też od samego początku traktowały *pierwszą*

W redakcji „Pata"

polską ajencję, jaką jest „Pat" do tego stopnia po macoszemu, że instytucja ta rozwijać się musiała wśród warunków, jakieby na całej kuli ziemskiej nie były wprost do pomyślenia. Piszący te słowa wie coś o tem, gdyż jako b. pierwszy szef biura prasowego Ministerstwa Skarbu, miał dość sposobności bliższego zaznajomienia się z temi warunkami. Urągały one wprost najelementarniejszym pojęciom zachodnim o biurze telegraficznem, począwszy od iście potwornych ubikacyj, w których „Pat" umieszczono, a skończywszy na bardzo a bardzo „prymitywnych" urządzeniach technicznych. Wychodzono snać z „założenia", że skoro „Pat" jest „instytucją rządową", nie powinien pod względem osławionego „bałaganu" pozostawać w tyle za — urzędami państwowemi. Ten nieszczęsny zarodek, ugruntowany, jak w wielu innych przedsiębiorstwach pierwszych naszych rządów na fałszywie zrozumianej „oszczędności", (gdy z drugiej strony w takim np., Monopolu Spirytusowym *trwoniono* miljony złotych) sprawił, że „Pat" ciężkie przechodzić musiał koleje, zanim zdołał wznieść się na swą wyżynę dzisiejszą. A i dziś jeszcze ta oficjalna ajencja telegraficzna boryka się wciąż z niedomaganiami, od niej zupełnie niezależnemi, jak np. *brakiem odpowiedniej sieci telefonicznej* w Rzeczypospolitej.

Już wprost zaś na tragikomedję zakrawa, że „Pat" od pierwszej chwili aż do dnia dzisiejszego nie znalazł należytego zrozumienia tam, gdzieby się tego najmniej spodziewać należało: w *prasie polskiej*. Nie licząc się wcale z nędznemi warunkami, w jakich ta instytucja pracowała, prasa nasza od samego początku, zamiast jej przyjść z pomocą, zajęła wobec niej dziwnie „wrogie stanowisko", które ujawniło się w bezustannem dyskredytowaniu jej w oczach publiczności. Domagano się poprostu od „Pata", by, jak Minerwa z głowy Jowisza, odrazu wyskoczyła „w pełnym rynsztunku" t. j. by dorównała istniejącym od *przeszło pół wieku* podobnym instytucjom zagranicznym. A kiedy „Pat" po prawdziwie długich i ciężkich cierpieniach zdołała nareszcie wydźwignąć się z „bałaganu" pierwszych lat i dostarczać prasie naszej bardzo bogatego materjału informacyjnego — okazało się, że *znikoma* jej tylko część wyzyskuje ten materjał w sposób *należyty*.

Zmiana na lepsze w stosunkach „Pata" da-

tuje się od chwili, gdy na czele tej instytucji stanął obecny jej dyrektor *Piotr Górecki*. Bezustannym jego wysiłkom udało się przemienić „Pat" na instytucję *samorządową*, otrzymującą od państwa tylko pewną — bardzo zresztą nikłą — subwencję. Dzięki temu częściowemu przynajmniej umiezależnieniu się od nieszczęsnego systemu biurokratycznego, „Pat" mógł nareszcie stanąć na wysokości swego — w naszych niestety wciąż jeszcze szwankujących warunkach — podwójnie, (w porównaniu z podobnemi instytucjami zagranicznemi) trudnego zadania. Przedewszystkiem dzięki gruntownej poprawie warunków natury *technicznej*. Wystarczy zaznaczyć, że „Pat", pomimo, iż jest jedną z najmłodszych ajencyj telegraficznych w Europie, była jednak *pierwszą*, która już w 1923 r. rozpoczęła posługiwać się *radiofonem*. Dziś pracuje w niej 5 radiotelegrafistów po 18 godzin na dobę (!) i jeden „dyżurny" w nocy. Dokonywają oni *dziennie* 23 połączeń z *Londynem*, a 22 z *Paryżem*. W czasach zaś gdy w *Genewie* odbywają się posiedzenia *Ligi Narodów*, radjostacja „Pata" odbiera wiadomości co *pół godziny*. W bezpośrednim kontakcie *telefonicznym* „Pat" pozostaje z Berlinem, Wiedniem, Pragą, Budapesztem i Rygą, gdzie posiada swych *własnych korespondentów*.

Odtworzenie statku pierwszych zdobywców Floridy

przy ujściu rzeki St. Johns. Ziemię tę zajął imieniem Francji, zatykając sztandar na wybrzeżu. Jako główny ośrodek wybrał miejscowość, znaną obecnie pod nazwą Beaufort, w południowej Carolinie. W r. 1564 Réné de Landomière z drugą partją Hugenotów zbudował fort Carolina przy ujściu rzeki St. Johns. Osady te jednak rozwijały się bardzo powoli i Landomière miał już zamiar wracać do Francji, gdy dnia 28 sierpnia Ribaut z 300 emigrantami wzmocnił osadę.

Tego samego dnia jednak w zatoce St.-Augustine ukazała się hiszpańska flota pod dowództwem Pedro Menendez'a de Aviles, której celem było zniszczenie osady Francuzów. Hasłem boju Hiszpanów nie była jednak walka z Francuzami, lecz z „luteranami". Wobec przeważających sił napastników walka trwała krótko. Schwytany Ribaut został natychmiast stracony, osada jednak podobała się Menendez'owi, to też pozostawił ją, nadając jej nazwę St.-Augustine.

Wiadomość o straceniu Ribaut'a i jego towarzyszów została przyjęta przez dwór francuski z zupełną obojętnością. Jednakże Dominique de Gourguas (1530—1593), przyjaciel Ribaut'a, zdaje się katolik, zaprzysiągł zemstę i w tym celu zorganizował ekspedycję. Trzy okręty stanęły u wybrzeży Floridy. Z pomocą Indjan, którym dali się już we znaki Hiszpanie, de Gourguas napadł na fort San Mateo i, wiosną 1568 r. zdobywszy go, wymordował cały garnizon ze słowami: „Nie zabijam Hiszpanów, lecz morderców moich braci, zdrajców i oprawców". Była to odpowiedź, dana Menendez'owi. Nie mając odpowiednich sił dla zdobycia St.-Augustine, de Gourguas wrócił do Francji.

W r. 1819 Hiszpanja, na mocy zawartego traktatu, odstąpiła wschodnią i zachodnią Floridę Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej. Traktat ten został ratyfikowany w r. 1821, władze cywilne objęły jednak kraj w posiadanie dopiero w rok później.

Indjanie nie pozostawali obojętnymi świadkami wszystkich historycznych wydarzeń, ale, jak to już wspomnieliśmy, brali często w nich udział. Niezawsze przytem kierowali się dobrze pojętym interesem,

Odtworzenie historycznych scen na Floridzie: Ponce de Leon ofiarowuje przymierze Indjanom

stając się najczęściej igraszką w rękach zaborców, którzy wygrywali Indjan przeciw swym przeciwnikom. Pod względem cywilizacyjnym wynieśli niewielkie tylko korzyści. Kolonizatorzy nie dbali zresztą o to, raczej starali się uczynić z nich niewolników. To też poziom ich cywilizacji dosięgnął zaledwie poziomu Azteków. Zresztą ciągłe walki między plemionami wyczerpały ich siły, aż wreszcie w połowie mniej więcej w. XVIII zawojowali ich ostatecznie „Creeks", plemię bardziej wojownicze i przedsiębiorcze. W tym też czasie zatracili swą odrębność, asymilując się całkowicie ze swymi zwycięzcami.

Plemię Creeks'ów niedługo zresztą cieszyło się zwycięstwem, bowiem na mocy traktatu z Payne Landing w r. 1832 i Fort Gibson w r. 1853 Indjanie zmuszeni byli opuścić Floridę wzamian za oddany im rezerwat w zachodniej części Stanów Zjednoczonych.

Wysiedlenie to nie poszło jednak łatwo. Zrozpaczona bezwzględnem postępowaniem rządu amerykańskiego ludność indyjska, zgrupowana w szczepie „Seminole", wypowiedziała rządowi walkę, która trwała sześć lat (1836—42). W rezultacie wiele setek Indjan pozostało w południowej części Floridy.

Ostatecznie bogactwa prowincji i jej znaczenie wzrastało coraz bardziej, to też w r. 1845 Florida została proklamowana jako stan samodzielny

*

Od tego czasu Florida staje się kwitnącą prowincją. Główna produkcja — to owoce, do których należą: pomarańcze, ananasy, banany, winogrona, brzoskwinie i figi. Ilością produkowanych ananasów przewyższa już Kalifornję, jedyny stan, produkujący te owoce. Wszystkie zresztą jarzyny i owoce, które konsumuje Ameryka wschodnia, są sprowadzane w zimie z Floridy. Prócz tego udają się tam doskonale plantacje bawełny,

Na ulicach Floridy widzi się kobiety w stroju hiszpańskim

trzciny cukrowej i tytoniu. Podobnie i pod względem przemysłowym daje się tu zauważyć olbrzymi postęp.

Tę różnorodność wspaniałej roślinności zawdzięcza Florida różnorodności klimatu, który zawsze jednak pozostaje łagodny. Możnaby wyróżnić tu, ze względu na klimat, trzy strefy: północno-wschodnią, od linji, przechodzącej Udar Keys i Fernandina — panuje tu klimat wyraźnie południowy; strefa, ciągnąca się od Caloosatchee do rzeki Indyjskiej, jest nawpół podzwrotnikowa (pomarańcze), i wreszcie na południe od tej ostatniej ciągnie się ziemia o charakterze wyraźnie podzwrotnikowym (ananasy), dzięki bliskości Golf-Stream'u.

Co się tyczy fauny, to z wielkich drapieżców spotyka się tu pumę, następnie niedźwiedzia, dzikie koty, kaczki i dzikie indyki; z gadów — aligatory. Fauna ptaków jest raczej skąpa, natomiast rybołóstwo jest jednym ze znaczniejszych dochodów mieszkańców.

*

Na tle tej bujnej przyrody, uroczystości, zmierzające ku uczczeniu Ponce de Leon'a, nabrały specjalnie egzotycznego charakteru. Możnaby zapytać, dlaczego wybrano imię powyższego podróżnika, gdy, jak to już wspominaliśmy, Florida znana była i przedtem. Jednakże, pomijając kolonizacyjne wysiłki tego odkrywcy, ma on dla wyobraźni mieszkańców ten urok, że postawił sobie za cel wyprawy odnalezienie źródła wiecznej młodości, cel, w urzeczywistnienie którego włożył całą swoją energję. I chociaż źródła nie odkrył, to czyż omywające wybrzeża Floridy fale oceanu wraz z cudownym jej klimatem nie stanowią potężnego czynnika odmładzającego? Wszystkie warunki pięknego półwyspu składają się na

całość, która wytworzy z niego w bliskiej przyszłości amerykańską Rivierę. Olbrzymie sumy pieniędzy, włożone w konstrukcje kolei, biegnącej wzdłuż wybrzeża, a nawet poprzez liczne tu wysepki, udostępniły ten uroczy zakątek wszystkim mieszkańcom Stanów Zjednoczonych.

Jeżeli zaś chodzi specjalnie o uroczystości wiosenne, to Florida, a szczególniej St.-Augustine, jest bodaj jedynem miejscem, którego tło harmonizuje z obchodami historycznemi. Tutaj to bowiem zachowały się w znacznej, jak na amerykańskie stosunki, ilości hiszpańsko - maurytańskie budowle, a nawet wielkie współczesne hotele odbiegają od szablonowego typu „Palaces" i wzorowane są na stylu maurytańskim. Do takich należy przedewszystkiem hotel „Ponce de Leon", najwspanialszy w St.-Augustine.

Takim np. zabytkiem historycznym jest fort Marion. Położony w pobliżu St.-Augustine; budowę jego rozpoczęli jeszcze w roku 1562 Hiszpanie. W 164 lata później został ostatecznie wykończony przy współudziale Indjan i Murzynów - niewolników. Zbudowany ze złomów skał, o ścianach 6—12 stóp grubych, zawiera celki dawnego więzienia i dawną wieżę, z której straż mogła doskonale obserwować rozległy horyzont na ziemi i morzu, dając baczenie na próby najścia półwyspu ze strony nieprzyjaciela. Jak to widzieliśmy z rysu historycznego, niespodzianki tego rodzaju zawsze były możliwe. Twierdza ta była istotnie Hiszpanom potrzebna, chociaż zdaje się, że na jej budowie zrobili wielkorządcy niezły interes, w przeliczeniu bowiem na obecną walutę koszt fortu wynosił 30,000,000 dolarów, co na ówczesne stosunki było sumą wprost olbrzymią! Podobny sąd miał zresztą o tej sprawie i król hiszpański, pisząc do ówczesnego wielkorządcy, że zamek ten budowany jest chyba z srebrnych monet raczej, niż z kamieni. Poza tem w samem St.-Augustine zachowała się znaczna ilość wąskich, krętych uliczek z niskiemi balkonami, nadającemi miastu hiszpański charakter.

Jako kulminacyjny punkt obchodu, wybrano fakt historyczny ukazania się w zatoce St.-Augustine żaglowca, na którym przybywa w otoczeniu towarzyszy Juan Ponce de Leon w poszukiwaniu źródła wiecznej młodości. Zdumieni pojawieniem się „wielkiego białego ptaka", Indjanie w liczbie tysiąca oczekują przybyszów.

Scena ta rozegrała się dn. 8-go kwietnia w obecności tysięcy gości, którzy przybyli ze wszystkich stron Floridy. Przeszło dwa tysiące ludzi wzięło udział w uroczystościach; przebrani byli za rycerzy francuskich, hiszpańskich i angielskich, w kostjumach z w. XVI i XVII. Prócz tego Indjanie w całym aparacie wojennym, z tradycyjnemi piórami, zatkniętemi w czuby, dzidami i tomahawkami. Pyszne kostjumy rycerzy europejskich i bronzowe ciała Indjan — to zaiste obraz niezwykły, opracowany tu zresztą w najdrobniejszych szczegółach. Aby zaś dać możliwie dokładny obraz ówczesnych obyczajów, zaimprowizowano szereg widowisk, na których „czerwonoskórzy" popisywali się zręcznością we władaniu bronią im właściwą, a nawet zaimprowizowano pozorną walkę.

Następny dzień poświęcono uczczeniu wylądowania Menendez'a i jego towarzyszów, w dniu zaś 10-ym kwietnia przedstawiono moment audjencji Ponce de Leon'a i Don Pedro Menendez'a u królowej Hiszpanji. Audjencja odbyła się z całym przepychem i ceremonjałem, właściwym w wieku XVI i XVII dworowi hiszpańskiemu. Uroczystości zostały zakończone zabawami, których główną atrakcją były wspaniałe ognie sztuczne, przewyższające przepychem europejskie; świetne bale i koncerty w większych hotelach zakończyły uroczystości.

Kwiecień — to bodaj najpiękniejszy miesiąc na Floridzie i, zaiste, trudno zdecydować się na opuszczenie wieczorem bajecznego wybrzeża, nawet celem udania się do wspaniałych tutejszych hoteli. Do najwspanialszych zaliczyć należy bezwarunkowo wspomniany już hotel „Ponce de Leon" i „Alkazar". Są to prawdziwe pałace, położone w przepysznych, podzwrotnikowych ogrodach, zajmujące centrum miasta. Hotele te zbudowane są z czerwonej cegły i szarego kamienia. We wspaniałych hotelach odbyły się tu bale, urządzone bezpłatnie dla gości. Kilka orkiestr, ukrytych w gajach palmowych, przygrywało do tańca, i gdyby nie krzykliwe „jazz'e", możnaby po-

Starożytny dom Galleon Clubu w St. Augustine na Floridzie

myśleć, że oświetlone różnobarwnie ogrody — to raczej bajka, niż rzeczywistość.

Owe hotele — to dzieło H. Flaglera, który przed 35 laty włożył w urządzenie Floridy miljony. Wzmiankowana i jedyna w swoim rodzaju kolej — to drugie jego dzieło, stworzenie zaś tak znanych, a nawet już modnych kąpielowych miejscowości, jak Palm Beach i Miami — to trzecie dzieło.

Niemniej ciekawa dla turystów jest hodowla aligatorów, których przeszło 1000 znajduje się w odpowiednim basenie. Można wyobrazić sobie wrażenie, wywołane przez nagromadzenie takiej ilości jaszczurów w jednym basenie!

Syci wrażeń turyści wracali nazajutrz pociągami, ale kto wie, czy obchód ten nie wydrze tysięcy gości modnej europejskiej Rivierze?

(Z cyklu podróży J. K. Strzeleckiego).

Cesarze Indyj

Fantastyczne to były, niezwykłe postacie, prawdziwi bohaterowie opowiadania z tysiąca i jednej nocy — ci potężni władcy wschodu — padyszachowie Hindustanu. Do dziś dnia Indje pełne są ich chwały: czyny bohaterskie opiewają poeci a imię ich jest na ustach ludu. Wszyscy wspominają wspaniałomyślność i tolerancję Akbara, nieprzebrane bogactwa Szacha Dżehana, okrucieństwa Aurangzeba...

Trudno oprzeć się wrażeniu, że w czasie tym fantastyczne baśnie wschodu zmaterjalizowały się i wcieliły w życie, a bajka stała się rzeczywistością dotykalną... Gdyby nie liczne opisy współczesnych podróżników, gdyby nie olbrzymie, wspaniałe pałace i świątynie, co i dziś świadczą o minionej chwale przeszłości, niemożliwem byłoby wprost wierzyć kronikom i dziejopisom.

Cesarze Indyj budzą również wielkie zainteresowanie w Europie. I to nie od dzisiaj.

Któż nie słyszał w wieku siedemnastym o niesłychanym przepychu i wspaniałości dworu „Wielkich Mogołów", jak zwano ich na zachodzie, kto nie podziwiał ich wspaniałomyślności i nie wzdrygał się na myśl o strasznych okrucieństwach?

Byli to wówczas najbogatsi ludzie na świecie a gigantyczne sale ich skarbców były przepełnione klejnotami i złotem; widzowie nie mogli się nadziwić niezwykle wspaniałemu ceremonjałowi dworu. Cesarze Indyj nietylko mogli powiedzieć, wráz z Ludwikiem XIV, że przedstawiają w swej osobie państwo, lecz i zasługiwali w daleko wyższym stopniu na tytuł „roi soleil". Dla swych poddanych bowiem reprezentowali oni... poprostu samo słońce.

Jak wszyscy mogą oglądać słońce, tak każdy mógł oglądać Wielkiego Mogoła. Codziennie cesarz Indyj pojawiał się trzykrotnie na balkonach swego pałacu: o wschodzie słońca na balkonie wschodnim, w południe od strony południowej, a pod wieczór wreszcie — na balkonie zachodnim. Słońce wspaniałości padyszacha Hindustanu przyświecało wszystkim — od magnata do ostatniego nędzarza.

Miłosierni dla biednych, wspaniałomyślni dla przyjaciół, straszni byli w swym gniewie. Wrogowie Wielkiego Mogoła ginęli w mękach przerażających, jakich opisy budzą grozę i dzisiaj jeszcze. Na jedno skinienie władcy zabijano setki tysięcy niewiernych i burzono setkami świątynie hinduskie.

Cesarze Indyj byli bowiem mahometanami.

Tem potężniej i tem plastyczniej odbija na takiem tle współczesnem postać pierwszego cesarza Indyj, Akbara, który tolerancją swą otoczył wszystkie narody i wszystkie religje. Była to jednostka niezwykła, której silna indywidualność musi obudzić zainteresowanie każdego. Historycy europejscy wydają o nim swe monografję a w Indjach pamięć jego czczą wszystkie religje.

Zanim przejdziemy do opisu życia „Wielkiego" — to bowiem znaczy Akbar po arabsku, należy wspomnieć jeszcze kilka słów o pochodzeniu dynastyj Wielkich Mogołów wogóle.

Był to ród nielada jaki!

Cesarze Indyj byli potomkami w prostej linji słynnego Tamerlana, a po matce krewnymi Czingis-Hana, łącząc w ten sposób w sobie krew obu najznamienitszych i najdzikszych zdobywców Azji.

Dziad Akbara, władca małego państewka na północy, wyruszył, jak niegdyś Aleksander Wielki, na podbój Indyj. Działo się to w pierwszej połowie szesnastego wieku.

Z dwunastu tylko tysiącami ludzi udał

się bohaterski potomek Timura na podbicie państw olbrzymich. Trudno opisać jego przejścia i walki niezliczone.

Przed początkiem każdej bitwy modlił się gorąco, a potem rzucał z garstką swych wojaków na olbrzymie armje wrogów. Boska Nike zawsze roztaczała swe skrzydła nad głową sułtana Babera, a zwycięstwo stale było po jego stronie.

Wzruszająca miłość rodzicielska cechowała bohatera. Jak opowiadają historycy arabscy, gdy jego syn najstarszy ciężko zachorował, ojciec, pragnąc ratować ukochane dziecko, wykonał dziwaczną ceremonję magiczną. Trzykrotnie obszedł łoże chorego, powtarzając:

„Niechaj choroba twa przejdzie na mnie".

Wkrótce ojciec zmarł a syn wyzdrowiał. Ten ostatni nie był bynajmniej bohaterem. Neurastenik, namiętny palacz opjum, musiał wkrótce uciekać ze swej stolicy, wypędzony przez rywali. Wiele lat spędził syn Lwa na obczyźnie. Przed samą śmiercią udało mu się dopiero zdobyć Delhi z powrotem.

Dopiero więc wnukowi Babera-Lwa sądzonem było stworzyć wielkie cesarstwo Indyj. Wywiązał się ze swego zadania wyśmienicie. Olbrzymi gmach państwowości, wzniesiony przez genjusz administracyjny Akbara, przetrwał słabych jego następców, a stworzona i zorganizowana przez niego armja broniła państwa Wielkich Mogołów jeszcze w sto lat po śmierci założyciela.

Po śmierci ojca w 1556 r., młodzieniec ujrzał się otoczonym dookoła wrogami, czyhającymi na jego zgubę. Rzucił się więc w wir wojen i walk, i długo, długo trwało to rozprawianie się z wrogami nowo-powstającego państwa.

Lecz szczęście dziadka szło w ślady wnuka. Wojny kończyły się z reguły zwycięsko!

Młody cesarz nietylko przejawił nadzwyczajny talent strategiczny, ale od samego początku swego panowania okazał również niezwykłe zdolności dyplomatyczne. Nie poszedł bowiem śladem wszystkich mahometańskich dotychczasowych zdobywców, niszczących majątek swych hinduskich poddanych, lecz starał się ująć tych ostatnich.

Przedewszystkiem więc zniósł surowy podatek pogłówny, zwany „dżizja" t. j. cena

Akbar

życia, jakim musieli się opłacać mahometanom wszyscy hindusi, nie-mahometanie, za samo prawo życia jedynie. Stopniowo zaczął okazywać coraz większą tolerancję religji hinduskiej i żenił się kilkakrotnie z hinduskiemi księżniczkami.

Były to wszystko indywidualne odruchy Akbara, który doskonale zorjentował się, że niepodobna rządzić krajem olbrzymim wbrew większości mieszkańców.

Oceniając charakter pierwszego z „Wielkich Mogołów" nie należy jednakże stosować do niego miary europejskiej; nie możemy zapominać o tem ani na chwilę, że przy wszystkich swych zdolnościach — był to jednakże dziki azjatycki despota, o nader szerokich ambicjach i niezwykle agresywnym charakterze, pożądający nadewszystko bogactwa i potęgi — a zwłaszcza nieznoszący wokół siebie żadnych rywali.

Niepodległość sąsiadów była dla Akbara obelgą!

Czynił więc nieustanne wyprawy na wszystkie strony, podbijając wreszcie cały prawie półwysep.

„Monarcha" mówił Akbar — „powinien zawsze pragnąć podbojów: inaczej sąsiedzi wkrótce powstaną przeciwko niemu. Ćwi-

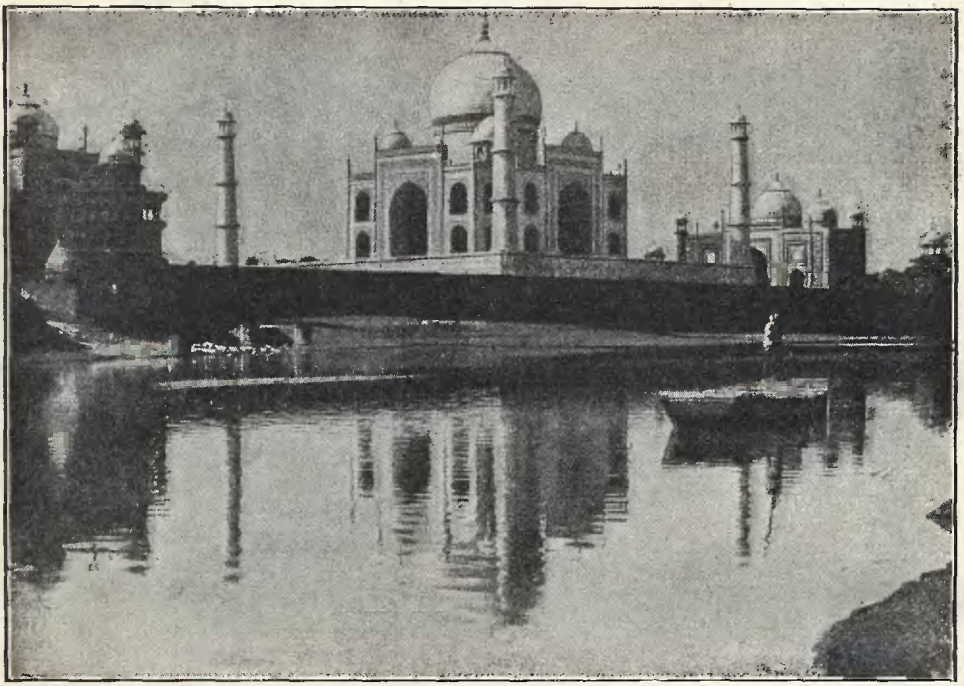

Tadż - Machal

czyć zaś armję — dodawał — należy, prowadząc ciągle wojny; inaczej bowiem zniszczeje zupełnie od samego trwania w bezczynności".

Trzeba przyznać, że podczas całego panowania Akbar stosował te zasady bardzo konsekwentnie. Zresztą — inaczej nie stworzyłby swego cesarstwa.

Zdumiewająca była wszechstronność tego człowieka. Jego aktywnego niezwykle umysłu rzemiosło wojenne bynajmniej nie mogło zaabsorbować. Pociągało go malarstwo, nęciła muzyka, lubił rzemiosła, znał się doskonale na architekturze, a specjalnie zwłaszcza interesowało go życie religijne ludzkości.

Przy tem wszystkiem padyszach Hindustanu nie umiał pisać! Całe swe życie był analfabetą!

Już jako małe dziecko rozpoczął nauki pod kierunkiem najsłynniejszych artystów i uczonych. Gdy jednakże okazywał stale zainteresowanie dla rysunku i malarstwa — z abecadłem był w wiecznej wojnie!

Mimo to myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że Akbar był nieukiem. Świetnie orjentował się w wielu dziedzinach życia umysłowego i zbierał olbrzymie bibljoteki; lubił zwłaszcza książki teologiczne, filozoficzne, historyczne i poezje, które kazał sobie odczytywać.

Był świetnym obserwatorem, znał wszystkie rzemiosła i praktycznie się niemi zajmował; interesowało go zwłaszcza odlewanie armat. Rzadko spał więcej niż trzy godziny na dobę. Niesłychanie aktywny, świetnie administrował państwem; wydawał się poprostu niezmordowanym.

Wywarł też wielki wpływ na rozwój sztuk plastycznych w Azji. Kazał uczyć hinduskich malarzy perskiej techniki miniaturowej, odznaczającej się niezwykłą subtelnością. Malarze perscy używali wszak pendzelka, składającego się... z jednego włosa wiewiórki!

Krok ten Akbara miał znaczenie wszechświatowe. Z tego połączenia dwóch sztuk powstało później słynne malarstwo indoperskie, które w wieku XVII osiągnęło rozkwit najwspanialszy i pozostawiło szereg arcydzieł.

Akbar był również właścicielem olbrzy-

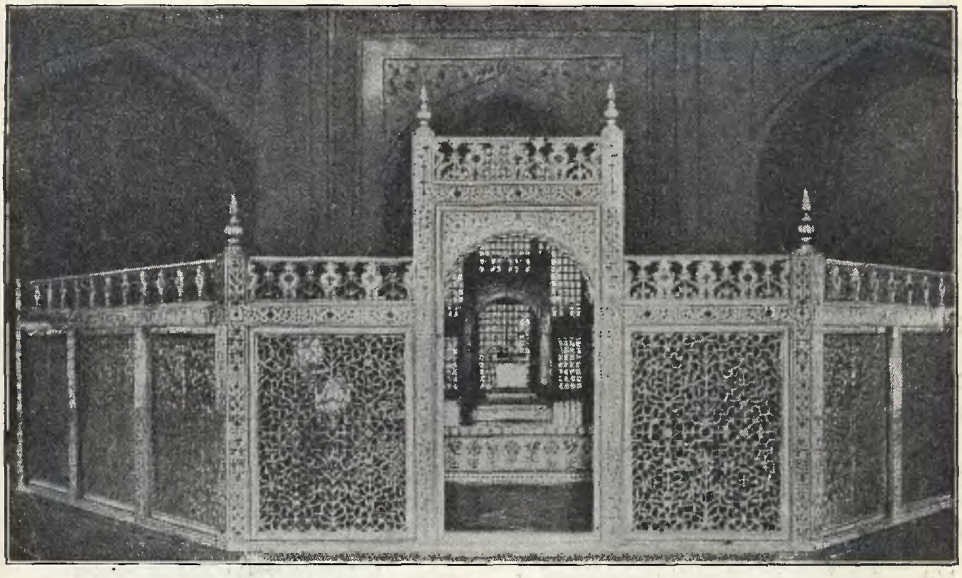

Grobowiec w Tadź-Machal

mich skarbów i powszechnie był uważany za najbogatszego człowieka na świecie; do niego należał słynny djament Koh-i-noor, obecnie własność króla angielskiego. Kazał również wszędzie zakładać wspaniałe ogrody.

Nieśmiertelną kartę w dziejach świata zyskał przez swą działalność budowniczą. Był bowiem wielkim miłośnikiem architektury i w tej dziedzinie wykazał smak niezwykły. W kierunku wznoszenia pałaców, fortec, świątyń — Akbar rozwinął działalność wprost zdumiewającą. Pod tym względem najsłynniejsi monarchowie zachodu zostali zaćmieni przez azjatyckiego analfabetę.

Ładnie wyraził się o swym cesarzu historyk arabski: „Najjaśniejszy pan projektuje wciąż cudne budowle i dzieła swej duszy ubiera w szaty z marmuru i cegły".

Wreszcie nienasycony cesarz - architekt postanowił wznieść całe miasto pałaców. Było to słynne Fathpur Sikri — szczyt działalności artystycznej Akbara.

Niezwykłą jest historja powstania tego fantastycznego miasta.

Akbarowi nie wiodło się z dziećmi, które umierały. Pewnego razu spotkany przypadkowo mahometański asceta pośród skał w Sikri — przepowiedział mu, że będzie mieć trzech synów, którzy unikną śmierci. Przepowiednia ta się sprawdziła.

Nic dziwnego zatem, że cesarz przypuszczał, iż bliskość świętego przyniesie mu szczęście. Wybudowawszy więc olbrzymi meczet pośród skał dla szeika, kazał wznosić obok dla siebie wspaniałą rezydencję cesarską — miasto pałaców. Artyści z całego świata przybywali ozdabiać stolicę cesarza Indyj.

Do dziś dnia pałace te świadczą o minionej chwale „Wielkich Mogołów". Prześliczna brama z różnokolorowych marmurów otwiera wejście. Na bramie tej wyryte są słowa arabskie, jakich jeszcze żaden władca mahometański nie ośmielił się przed Akbarem wypowiedzieć:

„Chwała Jezusowi, który dał światu pokój", a po tym hołdzie dla religji chrześcijańskiej następują jeszcze dwa wiersze o mistycznej, głębokiej treści:

„Świat to tylko most: przejdź po nim, lecz nie wznoś na nim domu" i

„Życie całe — to tylko godzina spędzona na modlitwie. Wszystko inne nie ma znaczenia".

Miasto pałaców tylko przez czas krótki było rezydencją cesarską. Wkrótce opuścił je Akbar — fantastyczny w swych upodobaniach — na zawsze.

Współcześni pozostawili nam dokładny opis postaci pierwszego z Wielkich Mogołów. Wzrostu średniego, o cerze śniadej, miał wygląd imponujący, królewski — a płomienne jego oczy „wibrowały jak ocean w słońcu" podług świadectwa jezuitów.

Gwałtowność jego charakteru przejawiała się nagle, nieoczekiwania. W bitwach odznaczał się niezwykłą odwagą. Błyskawicznie szybkie pochody jego nie liczyły się z żadnemi przeszkodami. W drugiej połowie życia przestał sam prowadzić swe armje, wyręczając się zaufanymi generałami, i z całym zapałem oddał się studjowaniu religij.

W dziwnym tym człowieku połączyły się kontrasty niezwykłe. Analfabeta — wywierał wielki wpływ na rozwój sztuki i poezji; typowy wojak zdobywca — zagłębiał się w dociekaniach mistycznych.

Akbar bowiem był mistykiem przez całe życie. Od najwcześniejszego dzieciństwa przepadał za towarzystwem ascetów hinduskich i mistyków perskich, — sufich. W późniejszem zaś życiu miewał wizje, w których wydawało mu się, że rozmawia z Bogiem.

Być może, że za przyczynek do wyjaśnienia niezwykłych cech charakteru Akbara posłużyć może choroba, na którą cierpiał, a mianowicie epilepsja.

Pod wpływem swej namiętności do teologji mistycznej, kazał wznieść wspaniały pałac, nazwany „Domem Czci Bożej", i przeznaczony jedynie do dyskusyj religijnych, w których sam Akbar brał udział osobiście. Z początku w sporach występowali tylko przedstawiciele rozlicznych sekt mahometańskich. Później pojawiły się wszelkie inne religje wraz ze swymi kapłanami.

W tymże czasie zapoznał się Akbar z ogólnemi zasadami chrześcijanizmu. Zaciekawiony niezwykle, zadawał nieustannie zapytania teologiczne wszystkim europejczykom, co pojawiali się na dworze Wielkiego Mogoła. Nie potrafili oni jednakże zaspokoić jego ciekawości — a więc zwrócił się do kolonji portugalskiej, prosząc o przysłanie dwóch uczonych teologów, aby wyjaśnili mu wreszcie dokładnie zasady Ewangelji. Obiecywał im przyjęcie wspaniałe i swą protekcję cesarską.

Biskup, ucieszony otwierającą się perspektywą nawrócenia Wielkiego Mogoła, wysłał mu czemprędzej dwóch najlepszych misjonarzy, ludzi niezwykle zdolnych. Akbar dotrzymał obietnicy i przyjął jezuitów wspaniale; przypuścił ich do swego towarzystwa i oddał syna na naukę.

Dżehangir

Jednakże rezultaty zaznajomienia się Akbara z religją chrześcijańską — były równie nieoczekiwane i fantastyczne jak całe jego życie. Jak to się wkrótce okazało, gruntowne poznanie teologji katolickiej nie wyszło mu na dobre, niestety. Zapragnął bowiem w swej własnej osobie połączyć godność cesarza z godnością... papieża Indyj, t. j. władcy duchowego mahometan i Hindusów połączonych w jedno wyznanie.

Głębokie zdumienie ogarnęło wkrótce cały świat mahometański. Akbar obwieścił przerażonym teologom ni mniej, ni więcej, tylko... dogmat o swej własnej nieomylności! Koncepcja jego była bardzo prosta: niechaj Hindusi i mahometanie połączą się we czci jedynego Boga — a jednocześnie uznają za namiestnika Bożego na ziemi i wykonawcę woli Bożej — padyszacha Hindustanu.

Ku niezmiernemu oburzeniu prawowiernych mahometan — cesarz wchodził na

ambony w meczetach i deklamował wiersze heretyków! Wreszcie w swem nowatorstwie posunął się tak daleko, że zakazał używania imienia Mahometa w modłach publicznych!

Przeciwko potędze cesarza trudno było jednak, jak się okazało, coś wskórać: wszelkie próby protestu ze strony prawowiernych mahometan zostały zatopione w potokach krwi!

Rzecz prosta — wobec takiego nowego objawienia — „Pałac Czci Bożej" — ten, sui generis, pierwszy parlament religij — okazał się już więcej niepotrzebnym. Kazano go więc zburzyć.

W końcu cesarz zaczął się do własnej religji odnosić całkiem wrogo, otaczając jawnie swą protekcją religje Hindusów, Persów, dżainów i spełniając publicznie obrzędy ich wiary. Na czole malował sobie znaki sekt hinduskich, a jednocześnie razem z synem oddawał cześć symbolom chrześcijańskim, czytał Ewagelję i uwielbiał Matkę Boską.

Ogłoszono tolerancję dla wszystkich religij, z wyjątkiem jedynie... mahometańskiej. Dzieciom zabroniono nadawać imię Mahometa a tym, którzy już je nosili — rozkazano zmienić. Było to zupełnie naturalne — prorokiem teraz był wszak już nie Mahomet — lecz Akbar!

Syn Akbara, cesarz Dżehangir, nie kontynuował początkowo wszechstronności religijnej swego ojca, lecz oparł się raczej na mahometanach. Potrafił również łączyć w swej osobie krańcowości niezwykłe. Człowiek inteligentny i wykształcony odznaczał się niepowściągliwością i dzikiem okrucieństwem. Pod wpływem gniewu kazał w okropny sposób torturować swych przeciwników i rwać w kawały wściekłym słoniom.

Był to typowy despota wschodni. Na wspaniale przybranym słoniu jeździł alejami, wysadzanemi setkami ściętych głów swych wrogów, zatkniętemi na tyczkach. A jednocześnie pisał pamiętniki, w których zachwycał się widokami przyrody, wodospadami, kwiatami...

Popierał sztukę, był sam zręcznym malarzem, kochał muzykę i wykazywał świetny smak w architekturze. Chociaż za jego panowania cesarstwo nie było już tak potężne, jak za Akbara, przepych dworu potęgował się nieustannie, a niesłychanie wspaniały ceremonjał przyjęć dworskich wprost nie dał się opisać, jak stwierdzali europejscy podróżnicy.

Religji Dżehangira nie można określić, podobnie, jak nie można było określić religji jego ojca. Aczkolwiek lubił rozmowy z ascetami hinduskimi, nie wypełniał jednak obrzędów innych religij, jak Akbar, a o religji hinduskiej mówił, że jest „bez żadnej wartości".

Jezuitów cenił zawsze bardzo wysoko. Urządzał też dla nich publiczne dysputy z inowiercami i pozwolił ogłosić Mahometa za fałszywego proroka. Czyż można się dziwić wobec tego, że księża znowu byli pełni nadziei co do nawrócenia się Wielkiego Mogoła i pozyskania dla wiary świętej całych Indyj?

Tu jeszcze należy podkreślić nadzwyczajne istotnie zamiłowanie Dżehangira do katolickiego kościelnego malarstwa. Dookoła tronu padyszacha Hindustanu byli bowiem wymalowani w całej okazałości: św. Antoni, św. Jan Chrzciciel, św. Bernard z Sieny, Chrystus i Matka Boska!

Cesarz mahometański, mieszkający w pałacu, dekorowanym religijnemi obrazami katolickiemi — coś podobnego tylko fantastyczna rzeczywistość wschodu zrealizować była w stanie! W Indjach, kraju, gdzie bajka krystalizuje się w formę materjalną, stało się więc wreszcie, że Wielki Mogoł wszystkie swe listy i wszelkie papiery państwowe opatrywał pieczęcią z wizerunkiem Chrystusa i Matki Boskiej, posiadał w swej galerji portret papieża i publicznie, wobec całego dworu, chwalił się, że posiadł wszelkie tajemnice wiary katolickiej.

Powszechnie uważano go za chrześcijanina, a mimo to Dżehangir — nie mógł nim zostać. Niezwykła przeszkoda stała temu na zawadzie: nie chciał się w żaden sposób pogodzić z myślą o oddaleniu swego haremu i pozostaniu na stałe z jedną tylko kobietą!

Syn jego, Szach Dżehan, był trzecim „Wielkim Mogołem".

Równie fantastyczny w swych upodobaniach, jak i jego poprzednicy, odznaczał się niezwykłem zamiłowanie do klejnotów.

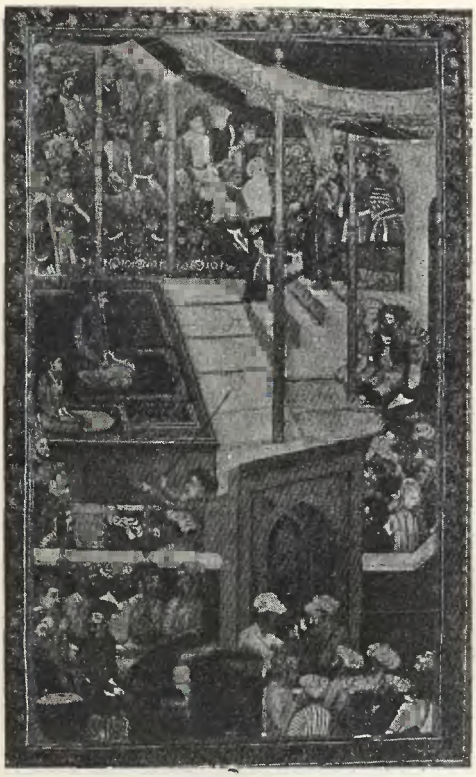

Cesarz Dżehangir odprawia modły

Bogactwo Akbara, najmożniejszego człowieka świata, zostało wielokrotnie przewyższone przez nieprzebrane skarby wnuka. Gigantyczne skarbce Szacha Dżehana były przepełnione klejnotami. Samem tylko czystem złotem i srebrem były wypełnione dwie kwadratowe ogromne sale; każda z nich była wysoka na stóp trzydzieści, a ściany ich miały po siedemdziesiąt stóp długości, jak opisywali oniemiali z podziwu podróżnicy europejscy.

Zaraz na początku panowania ogarnęło Dżehangira nieprzeparte pragnienie posiadania najwspanialszego tronu na kuli ziemskiej. Kazał więc zbierać w przeciągu lat siedmiu najpiękniejsze klejnoty i kamee i budować słynny w całym świecie „tron pawi". Podług zwyczaju wschodniego — było to raczej szerokie łoże pod baldachimem — aniżeli tron w pojęciu europejskiem.

Tron ten było zrobiony z czystego złota, czego nie można było jednak dojrzeć, gdyż cała powierzchnia widzialna była pokryta klejnotami: rubinami, szafirami, djamentami i t. d. Dwanaście kolumn ze szmaragdu podtrzymywało baldachim, na którym stały dwa pawie z drogich kamieni z rozpuszczonemi ogonami. Europejscy widzowie oceniali wartość tego skarbu na kilkanaście miljonów funtów szterlingów.

Los tego słynnego tronu był dość smutny — został później ukradziony do Persji.

Sala tronowa, w której stał „tron pawi", zachowała się do dzisiaj i stanowi jeszcze jeden przykład niesłychanej w dziejach świata pychy „Wielkich Mogołów". Dookoła cudnych ścian z marmuru i przezroczystego alabastru, wykładanych mozaiką z malachitu, lapis lazuli, złota i kości słoniowej, biegnie fryz, na którym nieustannie powtarza się inkrustowany napis arabski:

„Jeżeli istnieje gdzie niebo na ziemi, to jest ono tutaj! Jest tutaj! Jest tutaj!!"

Budowle z czasu Szacha Dżehana odznaczają się elegancją kształtów i cennym materjałem, z jakiego zostały wzniesione: kosztownemi marmurami oraz intarsjami z kamieni pół-szlachetnych. Należy podkreślić, że na okres jego panowania przypada najwyższy rozkwit architektury Wielkich Mogołów. Wzorem poprzedników, kazał sobie wznieść również osobną stolicę, a wspaniałe budowle z jego czasu przedstawiają niezwykłe walory artystyczne.

Jednocześnie zaś kraje cesarstwa wyniszczały głody straszliwe, wieloletnie. Jak pisze kronikarz:

„Ludzie pożerali się wzajemnie. Ojciec wolał mięso syna od jego miłości. Stosy trupów tamowały ruch na drogach".

Najsłynniejszą z budowli, wzniesionych przez Szacha Dżehana, jest niewątpliwie wspaniały grobowiec żony, Tadż Mahal w Agra. Stanowi on obecnie clou wszystkich wycieczek turystycznych, organizowanych po Indjach.

Grobowiec ten, stanowiący obecnie jeden z cudów świata, to nieśmiertelna pamiątka miłości mężczyzny. Gdy umarła ukochana jego żona, księżniczka perska, zwana „Mumtaz - i - Mahal", t. j. krasa pałacu, Szach Dżehan rozpaczał. Postanowił, że jego najdroższa otrzyma pomnik, jakiego jeszcze nigdy żadna kobieta nie miała na ziemi.

Typowe to dla Wielkich Mogołów, którzy pragnęli dookoła siebie mieć wszystko największe i najcenniejsze na świecie.

Legenda, cytowana niejednokrotnie przez podróżnych, opowiada, iż Szach Dżehan zapragnął w pięknych kształtach grobowca odtworzyć zaklęty w marmurze wizerunek ukochanej. Ponieważ religja mahometańska zabrania malowania portretów, — zatem wdzięk i piękno architektury miały oddać wdzięk i piękno zmarłej.

W danym wypadku legenda rozmija się z prawdą. Właśnie za czasów panowania Wielkich Mogołów sztuka portretu doszła do najwyższego rozkwitu.

Słynny grobowiec budowano przez lat przeszło dwadzieścia, z niesłychanym nakładem. Pragnąc stworzyć arcydzieło, Szach Dżehan ogłosił konkurs na projekt grobowca. Zwyciężył Isa - Mohammed, miejscowy architekt, i jego też plan wykonano, przy współudziale budowniczych z całego świata. Padyszach turecki przysłał z Konstantynopola najlepszych swych architektów, uczniów słynnego Sinana. Ze wszystkich krańców świata śpieszyli artyści, aby wykonać wolę Wielkiego Mogoła i współdziałać przy wzniesieniu jednego z cudów świata. W pracach nad upiększeniem budowli brali również udział europejczycy: renegat francuski, jubiler Austin de Bordeaux, i kamieniarz włoski, Verroneo.

Cesarz Dżehangir na tronie

Tragiczny los prześladował biednego wdowca. Gdy tylko wspaniały grobowiec żony został ukończony, najstarszy syn zmarłej wtrącił ojca do więzienia, gdzie zmarł, odcięty od świata.

Jan Starża-Dzierzbicki.

Czy istnieje sygnalizacja radjowa wśród zwierząt?

Odkrycie fal radjowych, a tem samem jakby nowej, niezwykłej dziedziny zjawisk fizycznych, rzuca nieznane dotychczas światło na całą rzeszę faktów z życia ludzkiego i zwierzęcego, faktów, które dotychczas były pokrywane milczeniem, lub interpretowane ze zgoła innego punktu widzenia.

Np. jedną z zagadek przyrodniczych była, a powiedzmy prawdę, jest i dzisiaj, sprawa porozumiewania się między sobą istot, stojących względnie nisko na szczeblach życia organicznego. Jednakże istoty te w wielu wypadkach posiadają zdolność komunikowania się ze sobą w sposób zdumiewający, jeśli się zważy warunki i przestrzenie, na jakich podobne zjawiska są obserwowane. Zwrócił na to w swoim czasie należytą uwagę badacz tak wytrawny i sumienny, jakim był słynny entomolog francuski, Fabre.

Obecnie, dalecy jeszcze od kategorycznego twierdzenia, przyrodnicy próbują rozpatrywać powyższą sprawę z punktu widzenia emisji pewnych fal elektromagnetycznych.

Zwróćmy np. uwagę na ślimaki, jeśli w zimie zobaczymy jedno z tych stworzeń w ogrodzie, to bez wątpienia znajdziemy obok całą masę ich — pięćdziesiąt lub sto osobników, które zimują w jednem miejscu. Sam fakt zebrania się w jednym punkcie takiej ilości ślimaków, dowodzi konieczności istnienia pewnych sposobów zwoływania się Przypominamy sobie, że ślimak posiada macki, które w chwili przejawów jego działalności poruszają się ustawicznie w powietrzu. Macki te posiadają na końcach oczy prostego typu, ale skądinąd wiadomo, że stworzenie widzi niemi nader niedokładnie. Zachodzi zatem podejrzenie, czy owe macki nie spełniają innej roli, będąc np. organem emitującym energję elektryczną pod postacią fal. Doświadczalnie stwierdzono również, że ślimak, pomimo swego mało rozwiniętego wzroku, doskonale orjentuje się w zmianach, dotyczących miejsca pożywienia, nawet na dużej odległości. Dało to asumpt niektórym badaczom do przypuszczeń, że macki ślimaka odbierać mogą emanacje, pochodzące od pożywienia.

Powyższy przykład, nieco coprawda problematyczny, poprzemy innym ze świata owadów. Oto samica z rodzaju moli (Tinea pellionella). Owad ten, przekształcony z poczwarki, nie opuszcza miejsca, gdzie ujrzał światło dzienne, ale pozostając na swojej gałązce, w niewiadomy sposób zaczyna przywoływać do siebie towarzysza. W krótkim czasie na zew ten zjawiają się osobniki męskie owadu. Z doświadczeń wykonanych przekonano się, iż ostatnie przylatują ze wszystkich stron, tak z wiatrem, jak i w kierunku przeciwnym, nie może zatem być mowy o wyzyskaniu powonienia. Samce, o których tu mowa, posiadają czułki nader złożonej budowy, które, według przypuszczeń, odgrywają rolę anten, chwytających sygnały, wysyłane przez samice.

Czas pokaże, o ile te niewytłumaczone zjawiska wiążą się z zasadą emisji fal.

Z. K.

Historja bez tytułu

Nowela konkursowa

Godło «Femina»

Oto po pięciu latach wesołej włóczęgi po obcych krajach zostałam zmuszona powrócić do pieleszy domowych, brrr... Inaczej wyobrażałam sobie taki powrót, kiedy po długich a uciążliwych utarczkach z kochanym stryjaszkiem a szanownym panem opiekunem, oraz innemi przyległościami familijnemi, wyjeżdżałam z ojczyzny ufna w siebie i swój talent, na studja rzeźbiarskie. Wierzyłam wtedy niezbicie, że powrócę niebawem w aureoli wszechświatowej sławy, wlokąc za sobą w triumfatorskim rydwanie wszystkie możliwe nagrody i odznaczenia, że na dworcu powita mnie specjalny komitet, powołany celem złożenia hołdu „znakomitej rodaczce"... Ba, w co ja wtedy nie wierzyłam?! Błogo na świecie, gdy się ma lat dziewiętnaście i zna życie z pięknych powieści i własnej, bujnej wyobraźni. Niestety, powrót mój nie nosi bynajmniej charakteru triumfalnego, przypomina on raczej powrót marnotrawnego syna, ściągniętego na łono rodziny groźbą ogłodzenia. Nie zabito nawet na moją cześć tłustego cielca, choć w obiedzie powitalnym figurowała chuda i wysuszona pieczeń cielęca. Pływający w zupie listek laurowy wydał mi się złośliwie symbolicznym. Biedne moje laury! Skończyły się na tem, że salon oficjalny konsekwentnie odrzucał co roku moje prace, jako zbyt nowatorskie, stronnictwa zaś wyzwolone nie chciały ich przyjąć, uważając, iż są zbyt „ulizane". Kiedyś, zapewne przez nieporozumienie, dostała się moja rzeźba na jedną z podrzędnych wystaw i przestała sobie w kącie, nie zwracając niczyjej uwagi. Takie są moje paryskie wawrzyny. O liściu bobkowy! pływający w zupie, której, mówiąc nawiasem, nie znoszę. Jakże mi tu będzie brak rozkosznych śniadań, spożywanych w gargotach studenckich na Montmartre lub Boul - Miche'u. Musiałam smętną mieć minę przy pierwszym familijnym obiedzie, gdyż stryj jegomość uznał za stosowne mnie pocieszyć. „Bo to widzisz, moje dziecko", przemówił z godnością, gładząc swą wspaniałą brodę. Ze wszystkich odmian głupoty najtrudniejszą do zniesienia dla mnie jest głupota uroczysta, najwspanialszym zaś okazem uroczystego idjoty, jaki znam — jest mój szanowny stryjaszek. Kiedy tonem kaznodziei wygłasza z namaszczeniem zwykły stek komunałów (a przerwać sobie nie da), doznaję uczucia podobnego do bólu zębów, jak na dźwięk ostrzenia noża. Mam ochotę zakneblować mu usta i wyrywać po włosku wspaniałą, majestatyczną brodę, mam ochotę zatańczyć na stole kankana, celując obcasem w szanowną stryjowską łysinę, mam ochotę rozpłakać się, jak dziecko, i jak dziecko uciec, niewiadomo dokąd. Tym razem miodopłynna wymowa mego złotoustego opiekuna toczyła się niezwykle wartkim potokiem. Tłumaczył mi, że przykrość rozstania się z środowiskiem artystycznem, do którego moja dusza, tak subtelna, garnęła się całem sercem (więc dusza ma serce, o uroczysty idjoto!!!), że ową przykrość powinna mi łagodzić miła świadomość, iż, żyjąc w kraju i pracując dla kraju, spełniam świętą powinność kobiety-Polki. Albowiem żyć i umierać dla ojczyzny miłej winno być celem każdego Polaka". Tu dobrał na talerz dobrą porcję pieczeni, mnie zaś dławiła pasja. „Mój nieboszczyk ojciec, a mą-

Stryju! — zawołałam

dry był człowiek, — ciągnął stryj, sięgając po sałatę, — mawiał: każdy grosz, zarobiony i wydany w kraju — to cegiełka na gmach naszej uciemiężonej ojczyzny. Więc nie narzekać powinnaś, lecz być wdzięczną okolicznościom majątkowym, które cię ściągnęły do kraju i do swoich". Tego mi już było za wiele, ten „nieboszczyk ojciec" był koszmarem mojego dzieciństwa: stryj ma zwyczaj, ilekroć wygłasza jakieś szczególnie uroczyste głupstwo, powoływać się na swego bezbronnego rodzica. Dawniej zwykłam wysłuchiwać tyrad stryja w ponurem milczeniu, ale tym razem byłam zmęczona i zdenerwowana przymusową podróżą; zresztą po kilkoletniej przerwie przepych wymowy stryjowskiej robił na mnie spotęgowane wrażenie. „Stryju, — zawołałam, rozpaczliwie chroniąc się przed tą powodzią słów, — wróciłam do kraju, bo mnie stryj do tego zmusił cofnięciem miesięcznego zasiłku. Natomiast nic na świecie nie zmusi mnie do wysłuchiwania podobnych uroczystych bzdur! tak „bzdur". Ulubione słowo pewnego polskiego futurysty, odznaczającego się większym talentem krasomówczym, niż malarskim, padło, wypowiedziane podniesionym głosem przy patrjarchalnym stole mego stryja. „Och, Iziu, jakże mogłaś powiedzieć coś podobnego?!" — jęknęła stryjenka, stworzenie przeważnie nieme i stała się podobniejsza, niż kiedykolwiek, do obrażonej indyczki. „Och, Iziu, jakże mogłaś powiedzieć coś podobnego" — zawtórowała błękitnooka i przetowłosa Zosieńka, bachor tak wstrętny, jakby go żywcem wycięto z jakiej wzorowej książki dla grzecznych dzieci. A stryj stał się purpurowy i, tarmosząc rozpaczliwie duszący go kołnierzyk, bełkotał z furją: „A smarkata, a smarkata!!" Wprawdzie przymiotnik ten nie zawierał w swej treści nic spe-

To chyba nieprzyzwoite?

cjalnie obraźliwego, zwłaszcza dla mnie, która cierpię wprost na obsesję strachu przed starością, że jednak c'est le ton... uznałam za stosowne salwować się ucieczką, zmniejszając hańbę odwrotu demonstracyjnem trzaśnięciem drzwi. Ochłonęłam, znalazłszy się w swoim pokoju, w moim dawnym, pensjonarskim pokoiku. Był odnowiony i odświeżony, ale meble pozostały te same i ustawiono je tak samo, jak wtedy, kiedy stąd odjeżdżałam. Musiano to zrobić celowo, gdyż podczas mojej nieobecności zamieszkiwali ten pokój różni lokatorzy, którzy napewno wprowadzali tu swoje porządki lub, ściślej, nieporządki. Ten dowód serdecznej troskliwości rozczulił mnie bardziej, niżbym się tego mogła spodziewać. Zrobiło mi się wstyd mego ordynarnego zachowania. Biedny stryjaszek, czy to jego wina, że był od kolebki starym nudziarzem i że miał brata czarującego zawadjakę. Że ów brat, a mój papo, przeputawszy znaczną część swego majątku, umierając, uczynił jego stryja pełnowładnym opiekunem wcapokaźnej reszty, aż do dnia, w którym jedynaczka (niby ja) dojdzie do pełnego wieku lat trzydziestu pięciu. Widocznie papa nie dowierzał własnej latorośli i chciał mi w ten sposób zapewnić dobrobyt, zanim dojdę do wieku rozsądku. O ile dla niektórych kobiet wiek taki wogóle istnieje. Trzeba przyznać, że dostojny mój stryjaszek wywiązywał się dotąd z opieki, nie będącej pod żadnym względem synekurą, jak mógł najlepiej. Dał mi bardzo staranne wychowanie, majątku nie roztrwonił, rentę z bólem serca przesyłał mi sumiennie zagranicę, choć cygański żywot, jaki wiodłam, musiał mu być solą w oku. Nie jego to wina, że ogromny podatek majątkowy nie pozwolił mi w tym roku na pobyt w Paryżu. I nie jego, ach, wina, że mój domniemany talent rzeźbiarski okazał się złudzeniem, a nadzieja utrzymania się z własnej pracy — zawodną. Pójdę starca przeprosić.

*

Od czasu uroczystych przeprosin nastrój w domu idyliczny. Byłam tak zmęczona i zdenerwowana, że przy pierwszem słowie zaniosłam się spazmatycznym płaczem, co bardzo trafiło do gustu mojej czcigodnej rodziny, lubiącej podobne efekciki. Coprawda, musiałam, na dowód szczerej skruchy, wysłuchać podwójnej porcji veritės de monsieur La Palisse, znowu wyjechał na stół „nieboszczyk ojciec" i „nieszczęśliwa ojczyzna", ale już nie śmiałam protestować, nie chcąc być powodem przedwczesnej śmierci mego majestatycznego stryja, który jest okazały i zagrożony apopleksją. W porywie lekkomyślnej wspaniałomyślności obiecałam nawet pomagać w odrabianiu lekcyj lnianowłosej Zosieńce, jako że „czasy są ciężkie i należy wspierać się wzajemnie, pracując w kraju i dla kraju". Bardzo prędko pożałowałam tej niebacznej propozycji, gdyż mój błękitnooki aniołek przy lekcji staje się istnym czortem, a gdy go usiłuję nakłonić do uwagi, wszczyna ryk, jakgdyby go ze skóry odzierano. Nauki bynajmniej nie żądna, natomiast niezmiernie ciekawa wszystkiego, co nie ma z przedmiotami wiedzy szkolnej nic wspólnego. Moja paryska garderoba wprawia ją w szał zachwytu; kiedy zachowuje się względnie możliwie przy odrabianiu lekcyj, pozwalam jej w nagrodę grzebać w mojej szafie. Wtedy zasypuje mnie gradem wykrzykników i zapytań: „Jakie to śliczne! w jakich okazjach to się no-

si? czemu ta suknia nie ma rękawów? a ta jakby nie miała stanika!... to chyba nieprzyzwoite?..." Wychowuje się na jakiejś arcykatolickiej pensji i jest przejęta potrzebą nawracania otoczenia; zdaje się, że postanowiła zacząć ode mnie. „Słuchaj, Iziu, — zaczęła kiedyś tak poważnie, że wydało mi się, iż widzę i słyszę stryjaszka (bo to widzisz, dziecko), — czy ty chodzisz na bale?" — zapytał mnie aniołeczek. „Nawet bardzo lubię", — odparłam, nie wiedząc, do czego to zmierza. — „I nosisz takie gołe suknie i tańczysz te nieprzyzwoite, nowoczesne, zakazane przez kościół, tańce!" — zawołała, pełna świątobliwej zgrozy. „Oczywiście, cóżbym tam inaczej robiła" — odpowiadam trochę ubawiona, trochę zła. Aniołek rzuca mi się nagle na szyję. „Iziu, moja najdroższa, — woła z akcentem patentowanej histeryczki, — przysięgnij mi, że już nigdy nie włożysz podobnej sukni, że nigdy nie będziesz tańczyła tych bezbożnych tańców, a ja cię będę tak kochać, tak kochać!!..." O do djabła, cóż za patetyczną rodzinka! „Moja droga, — mówię głosem, któryby się dał zastosować w kuchni zamiast sztucznego lodu, — jak dorośniesz, będziesz robiła, co uznasz za stosowne, narazie bądź łaskawa i nie wtrącaj się do tego, co do ciebie nie należy". Spojrzała na mnie oczami pełnemi łez. „Ja nigdy nie będę nosiła podobnych sukien", — oznajmiła głosem męczennicy, składającej wyznanie wiary w obliczu kata. — „No zapewne, zanim dorośniesz, moda się zmieni", — zauważyłam pojednawczo. Uf, stanowczo nie czuję w sobie powołania na pedagoga. Muszę używać całej siły woli, aby przy konwersacji francuskiej nie używać paryskiego argot, albo, zamiast budujących wierszyków, nie nauczyć małej hipokrytki najmodniejszych kupletów z Chat Noir. Lecz choć dusza we mnie foxtrotuje z radości na myśl o minach patrjarchalnej rodziny, słyszącej takie słówka z niewinnych usteczek swojej jedynaczki, nie uczynię tego. Nie chcę nadużywać zaufania tych poczciwych nudziarzy. Nie taka jestem straszna, jak się maluję, choć moje przyczernione rzęsy i karminowe usta są powodem cichych, lecz nieustannych, westchnień zacnej stryjenki.

*

Chociaż się sezon jeszcze nie rozpoczął, stryjenka uznała za stosowne urządzić małą herbatkę, aby mnie przypomnieć starym znajomym i przedstawić nowym. Marzeniem tej zacnej matrony jest wydać mnie w tym roku zamąż. Dobry kawał! Nie dziwię się jej zresztą; moja obecność w domu sprawia na nią wrażenie bomby, gotowej w każdej chwili wybuchnąć, projekt zaś, abym, mieszkając w jednem z nimi mieście, zakwaterowała się oddzielnie — wydaje się jej ze wszech miar gorszącym i niedopuszczalnym. A więc włożyłam jedną z najdłuższych i najmniej wyciętych sukien i pozwoliłam łagodnie oglądać się przez cały wieczór. Na najgłupsze, krzyżowe pytania odpowiadałam z gołębią cierpliwością i czarującym uśmiechem. Na moje nieszczęście, jeden ze znajomych stryjostwa, będąc w Paryżu, dziwnym trafem zbłądził na wystawę, na której figurowała moja nieszczęsna rzeźba. Nie wiem, czy ją obejrzał, czy tylko przeczytał w katalogu moje nazwisko, dość, że po powrocie do kraju roztrąbił, iż — „wystawiam w Paryżu". Więc naturalnie „paryskie laury" wjechały na stół, i w kółku znajomych stryjostwa pozostanę nazawsze — „znakomitą rodaczką". Oczywiście starałam się jak mogłam pomniejszyć swoje zasługi do naturalnych rozmiarów, ale udało mi się tylko wyrobić sobie opinję osoby równie skromnej, jak sławnej. Ta cała bujda miała niespodziewany rezultat — zatęskniłam rozpaczliwie za pracą. Ostatniemi czasy siedziałam w Paryżu, bo mi smakował cygański żywot wesołej bandy, do której należałam. Zwątpiwszy ostatecznie o swoich siłach, blisko od roku zarzuciłam prawie całkiem swoje studja i spędzałam żywot na włóczędze i pijatykach. Teraz, pod gradem głupich zapytań, obudziła się we mnie chęć spróbowania jeszcze raz swoich sił. Może w kraju uda mi się łatwiej zdobyć uznanie; przecie w początkach dopatrywano się we mnie niepospolitych zdolności. A gdyby mi się tylko udało zarobić na życie i tem samem uniezależnić od wszelkich widzimisię szanownego stryja i opiekuna — co za triumf! Cóż, kiedy w całem mieszkaniu stryjostwa nie znalazłabym miejsca na roztasowanie [illegible] z gliną i narzędziami. A jakbym zaczęła sprowadzać modele???!!! Nie, lepiej [illegible] nie myśleć.

*

Zastałam Janosika przy pracy

Eureka! Doprawdy zaczyna mi się szczęścić: Spotkałam na ulicy Janusza Margułę, powszechnie zwanego Janosikiem, kolegę jeszcze z Monachjum. No i zgadało się, że ten miły góral rozporządza ogromnem atelier, zaś bardzo niewielką ilością pieniędzy, więc z chęcią pozwoli mi za niedużem wynagrodzeniem „paskudzić" u siebie przez parę godzin dziennie. Zawsze wyrażał się o pracy kobiecej bez szacunku. Trudno, w tej chwili nie jestem zdolna do obrazy. Tak się ucieszyłam, spotykając na warszawskim bruku kogoś z bandy, a tu jeszcze dostanę i pracownię. Hip, hip, hurrah!

*

Zastałam Janosika przy pracy. Nie podał mi ręki, gdyż był umazany gliną, tylko odrazu wskazując triumfalnym gestem nagą modelkę, zawołał: „Bycza niewiasta! jakie uda, co?!" Nie podzielając bynajmniej jego zachwytu a nie chcąc urazić modela, nakreśliłam w powietrzu poza jego plecami linję miękkich piersi i ogromnych, płaskich stóp. Janosik stropił się nieco, gdyż nie mógł nie przyznać mi racji. „No tak, mruknął, ale bądź co bądź kobieta". Kochany Janosik! Zawsze należał do tych co to „jedną tylko żyją chętką"... Zresztą ma w tem niefrasobliwy wdzięk młodego, zdrowego byczka. A propos wdzięku: zapytana co mnie najbardziej czaruje w człowieku, odparłabym bez wahania, ku wielkiemu zgorszeniu mnogich: zwierzę. Zachwycam się w ludziach kocią zręcznością, wiernem, psiem spojrzeniem, szlachetnością rasowego konia, wyniosłością lwa. Wszystko co w nas wytworzyła cywilizacja i zimna rachuba jest użyteczne, ale pozbawione piękna i wdzięku. Dlatego nieraz tak serdecznie nie znoszę siebie samej za to wieczne analizowanie najprostszych uczuć i odruchów, dlatego pociągają mnie tak bardzo natury prymitywne i jednolite jak Janosik. Jest on rozkosznie głupi, doskonale piękny i bardzo, bardzo utalentowany. Jego talent głęboki i żywiołowy (jak ja mu zazdroszczę), jest czysto intuicyjny. Janosik nie potrafi nic powiedzieć ani wytłumaczyć. „Il est delicieusement bête", mawiały o nim paryskie koleżanki. Bezpretensjonalna głupota Janosika Marguły jest biegunowem przeciwieństwem uroczystej głupoty mego dostojnego stryja i równie czarująca jak tamta antypatyczna. Przez dwie godziny przyglądałam się z zazdrością i podziwem pracy Janosika. Sama usiłowałam, korzystając z obecności modela, coś niecoś szkicować dla wprawy, ale bardzo opornie mi idzie.

*

„Powiedz mi Iziu, zapytała mnie dziś Zosieńka, czy ty się nie boisz zostawać tyle czasu sam na sam z człowiekiem — pochodzenia męskiego". (?!) Sapristi! Tyle naiwności i perfidji zarazem i to w trzynastym roku życia. No, no. Zresztą urocza stryjeczna siostrzyczka moja, była tylko jak się zdaje wyrazicielką ogólnej opinji domowej. Stryjenka coprawda nic nie mówi, tylko wzdycha coraz boleśniej, lecz za to stryjaszek kochany wygłasza przy każdym posiłku przemowę o „zgniliźnie obecnych czasów, kiedy to młode dziewczątka, (ja — dziewczątko?!) nie wahają się zamykać w towarzystwie ludzi niewiadomego pochodzenia, (?!) pod pozorem jakichś studjów artystycznych". Otwarcie protestować nie śmie, gdyż zapowiedziałam kategorycznie, że skoro podatki tegoroczne przewyższają dochód z mego majątku, jestem zmuszona starać się o zarobek. A że po ogłoszeniu moich „paryskich laurów" paru znajomych przebąkuje coś nieśmiało o obstalowaniu swojej podobizny, rodzina nie śmie stawiać tamy moim artystycznym zapędom, tylko oczywiście — boleje. Trudno. Ale dlaczego ja tak się upieram przy moich nieudolnych próbach, będących stałem pośmiewiskiem Janosika? Oto wyznaję ze skruchą, że największym pono dla mnie magnesem pracowni jest jej niegościnny gospodarz, który tak dalece nie zwraca na mnie uwagi, że przy pracy gwiżdże w mojej obecności, klnie paskudnie jak mu się coś nie uda lub wyśpiewuje takie piosneczki, od których dragonby się zaczerwienił. „Moglibyście też trochę oszczędzać moje dziewicze uszy", próbowałam łagodnie przywołać go do porządku. — Dziewicze? perskie oko. Zresztą, dodał po chwili, z wami to wszystko możliwe. I gdzieście się taką uchowali? Ni to z pierza, ni to z mięsa, panienka z białego dworku, lala porcelanowa". Słuchałam bez urazy, tych wielce w ustach Janosika niepochlebnych epitetów, zastanowiłam s

rzeczywiście, jak ja się taka uchowałam? Pięć lat włóczęgi po hotelach i pensjonatach bynajmniej nie pierwszorzędnych, w podejrzanych knajpach, artystycznych maskaradach i to w towarzystwie nieraz bardzo dwuznacznych kolegów i całkiem niedwuznacznych koleżanek. Co mnie ustrzegło od losu większości podobnych mnie, nieostrożnych a ciekawych dziewcząt, których tyle wsiąka rok rocznie w bagienko Paryża. Zasady? nic mi o nich niewiadomo. Chyba wstręt. Wstręt kazał mi odpychać śliniące się lubieżnie usta napotykane na mojej drodze. Zbyt często zdarzało mi się pełnić rolę powiernicy, zawiele widziałam owych przelotnych stosunków pełnych taniego patosu i tchórzliwego kłamstwa, w których kobieta jest w końcu zawsze wyzyskaną. Zakazany owoc widziany zbliska wywołał we mnie niesmak jeszcze przed skosztowaniem. Janosik piękny, obojętny, szczery do cynizmu w swych odruchach zmysłowych nie budził we mnie wstrętu jak nie może budzić wstrętu piękny ogier lub byk. Na szczęście Janosik nigdy nie starał się o moje względy.

*

Męczą mnie sny. Właściwie sen, zawsze ten sam w różnych odmianach. Od niejakiego czasu literalnie spędzam noce w objęciach Janosika. Budzę się, klnę jak dragon, przewracam się na drugi bok, usiłując myśleć o czem innem i po chwili znowu znajduję się w niemal bolesnym uścisku jego silnych ramion, widzę nad sobą tuż przy twarzy ciemno ponsowe usta i wspaniałe, płonące oczy. Czuję gorący oddech... i co najhaniebniejsza, że jest mi wtedy obrzydliwie dobrze. Zrana jestem blada, mam sińce pod oczyma. Wygląd mój wywołuje troskliwe pytania stryjostwa o zdrowie i nagłe a niespodziewane wnioski, że powinnam jaknajprędzej wyjść zamąż. Jestem wściekła. Oczywiście nieraz zdarzało się, że jakiś ładny chłopak przyśnił mi się w sposób... hm, jakby to powiedzieć? stylem tego domu powiedzmy — nieprzyzwoity i niemoralny, ale ta ustawiczna obsesja tego samego człowieka, który się zresztą mną bynajmniej nie interesuje, jest doprawdy upakarzająca.

*

Dziś, po nocy co była jednem pasmem gorszących i burzliwych snów, pukałam zrana do drzwi pracowni niemal wzruszona. Otworzył mi Janosik tak niewyspany i zmięty, że przez chwilę gotowa byłam go uważać za cichego wspólnika. Natychmiast zresztą, większy niż kiedykolwiek nieład w pracowni, stłuczona butelka, niemyte kieliszki i talerze, puste pudełko od sardynek i tym podobne ślady „orgji" wyprowadziły mnie z błędu. Kilka szpilek od włosów na „erotomanie" i rozsypany przed lustrem puder nie zostawiły mi żadnej wątpliwości co do płci mocnego biesiadnika. Janosik nie poczuwał się bynajmniej do obowiązku dyskrecji. „Miałem tu dziewczynkę", oznajmił triumfalnie. Mówię wam, bycza. Nawetbym was prosił, byście tu czas jakiś nie przychodzili. Obiecała mi pozować rankami a powiedziała, że się kobiet wstydzi. Bardzo porządna i inteligentna dziewucha. Poznałem ją wczoraj na ulicy". Właściwie to powinnam być wdzięczna tej „porządnej i inteligentnej" dziewczynie. Zatrzymała mnie na drodze do zakochania się w prześlicznem stworzeniu o intelekcie niższym od mądrego psa policyjnego lub cyrkowego konia. Drżę na myśl, jakie mogłyby być podobnej miłości skutki. Przy całym moim pozornym rozmachu życiowym wielki ze mnie tchórz. Dlatego strach ogłodzenia tak łatwo ściągnął mnie na łono rodziny, dlatego cieszę się tak z tej niezależnej odemnie przyczyny, która przecięła w pierwszem ogniwie łańcuch, którego nie miałabym odwagi ani zerwać, ani udźwignąć. Swoją drogą może rzeczywiście najlepiejby było wyjść zamąż.

*

W bardzo minorowym nastroju dałam się zaprowadzić na zebranie do jednej z przyjaciółek stryjenki, damy, której mąż miał owo niefortunne spotkanie z mojem „arcydziełem" na wystawie paryskiej. Byłam pewna, że mój „wielki talent" i „europejska sława" wyjadą znowu na stół i wściekałam się na zapas. Tymczasem jeszcze z przedpokoju dojrzałam przez uchylone drzwi salonu, w gronie znanych mi uroczystych figur — nieznajomego, młodego mężczyznę o tak rozbrajająco miłym uśmiechu, że sama musiałam się uśmiechnąć i tak

wchodząc rozpromieniona do salonu zrobiłam (zdaniem stryjenki) „bardzo efektowne entrée". Młodzieniec o czarującym uśmiechu znalazł się przy mnie i odrazu rozmawialiśmy wesoło, jak starzy znajomi, co mnie bardzo zdziwiło, bo zazwyczaj jestem w „mondzie" małomówna i ponura jak buldog. O czem mówiliśmy, nie wiem, całą moją uwagę pochłaniała nadzwyczaj ruchliwa twarz mego sąsiada. Ze zdziwieniem skonstatowałam, że nie była to twarz piękna; z powodu rysów nieregularnych i dość grubych trudnoby ją nawet nazwać przystojną. Wyraziste oczy, błyszczące i wesołe i uśmiech odsłaniający równe, białe zęby stanowią niebywały urok tej twarzy. Rasowe ręce, postawa i ruchy przypominające szlachetnego rumaka — wszystko mi się w nim podobało. I timbre głosu i śmiech, zwłaszcza śmiech. Przyglądałam mu się dużo uważniej niż wypadało, i zarazem w rozmowie strzeliłam parę grubych byków, które mi zresztą pomógł natychmiast obrócić w żart. Tak mi było wesoło i słonecznie na duszy, jak wtedy, kiedy miałam lat czternaście i jechałam do domu na wakacje. Żałowałam, że musiał wcześniej opuścić towarzystwo, jednocześnie myślałam, że taki miły flirt uprzyjemni mi bardzo przymusowy pobyt na łonie kochającej rodziny. Gospodyni domu szepnęła mi konfidencjonalnie na ucho: „Winszuję ci konkiety, młody człowiek z ogromną przyszłością, został wczoraj mianowany sekretarzem przy legacji w Jugosławji". Z tego wszystkiego zrozumiałam, że mój miły sąsiad niedługo wyjeżdża do jakiegoś kraju, którego za moich czasów pensjonarskich nie było na karcie. To trzeba mieć moje psie szczęście.

*

Pan Wacław, (nazywa się Wacław — śliczne imię), prosił naszą czcigodną przyjaciółkę o wprowadzenie go do domu stryjostwa. Podobno zrobiłam na nim nadzwyczajne wrażenie. W domu przyglądają mi się z uznaniem (Wacław jest świetną partją), nawet słodka Zosieńka przed zadaniem jednego ze swych idjotycznych pytań przeprasza, że się ośmiela mnie fatygować. Jest mi bardzo dziwnie. Zdaje mi się, że czas się cofnął o lat kilkanaście, że jestem w przededniu mojej pierwszej komunji. Jestem nawskroś przejęta mającą nastąpić uroczystością, i żałuję, tak gorąco żałuję. Wszystkich słów i uśmiechów roztrwonionych niebacznie, uścisków w tańcu, które raczyłam ignorować, pocałunków, które pozwoliłam sobie ukraść, spojrzeń, którym pozwalałam się rozbierać — żałuję, żałuję. I lat przeżytych, przewegetowanych zanim go poznałam — żałuję. Chciałabym mieć lat szesnaście, być białą gąską świeżo wypuszczoną z klasztoru, nie wiedzieć nic o życiu ani o świecie — o wszystkiem dowiedzieć się od niego — przez niego. Lękam się. Nie jestem dość piękna, dość młoda, dość czysta, aby zostać jego żoną.

*

Jestem zaręczona. Wciąż sprawdzam czy jeszcze mam na ręku pierścionek, aby się przekonać czy to nie sen. Wacław zastał mnie samą w domu. Zachowywałam się idjotycznie, odpowiadałam nie do rzeczy. Byłam przekonana, że zostawienie nas samych w salonie musi mu się wydać podejrzanem i posądzi mnie o udział w polowaniu z naganką. Kiedy wspomniał o swoim rychłym wyjeździe zrobiło mi się całkiem smutno. Wtedy zapytał czybym nie zechciała pojechać razem z nim. „Jako sekretarka?" zapytałam z głupia frant. — Nie, jako moja żona. Stolik z czarną kawą zawirował mi w oczach i zaczęłam się śmiać jak idjotka albo histeryczka. Wacław był bardzo zmieszany. „Przepraszam panią najmocniej za tak obcesowe oświadczyny, powtarzał urywanym głosem, ale mam tak mało czasu przed wyjazdem, zresztą co tu gadać, człowiek zakochany okropnie głupieje..." — Prawda?! zawołałam triumfalnie, ja także muszę pana przeprosić za mój głupi śmiech, ale to zdaje się z tego samego powodu... Całował moje ręce, dziękując nie wiem dobrze za co. Do salonu wtoczył się majestatycznie stryj (to jednak musiało być wyreżyserowane). Nie mogłam powstrzymać się od łez i śmiechu a że się okropnie wstydziłam swego histerycznego zachowania, ukryłam twarz w stryjowskiej kamizelce — styl domu został zachowany w całej pełni. Biedny Wacław — musiał wysłuchać uroczystej przemowy stryja, któ-

Ukryłam twarz w stryjowskiej kamizelce

ry korzystał ze sposobności popisania się swą miodopłynną wymową. Co mi tam, jestem szczęśliwa. Wciąż rozpamiętuję i podziwiam niepojęty cud miłości, który sprawił, iż dwoje ludzi dojrzałych, trzeźwych, może nawet nieco zblazowanych od pierwszego niemal wejrzenia, z dziecięcą ufnością, zapragnęło iść razem przez życie. „Dlaczego, pytam Wacława, dlaczego ja a nie inna? — Nie wiem, odpowiada z uśmiechem, a ty wiesz? — „Nie". Ale wiemy oboje niezbicie, że jesteśmy dla siebie szczęściem, które przeczuliśmy w chwili jasnowidzenia i że rozminięcie się byłoby błędem, za który pokutowalibyśmy przez całe życie. „Gdybym mógł zostać dłużej w Warszawie, mówi Wacław, możebym się wahał, zastanawiał, starał się bliżej cię poznać, ale jestem na wyjezdnem — musiałem zdecydować się od razu, no i stało się". — I dobrze się stało, mówimy oboje i patrzymy sobie w oczy takiem jasnem, ufnem spojrzeniem.

*

Te kilka dni przed odjazdem Wacława minęły jak sen. Nie mogliśmy się dosyć nadziwić jak bardzo usposobienia nasze i gusta we wszystkiem się zgadzają — rozumiemy się niemal bez słowa. Coprawda to wiele się rzeczy we mnie teraz nagle odmieniło. Gdzieś pierzchły, rozwiały się marzenia o samowystarczalności, nieograniczonej swobodzie. Teraz snuję marzenia o domu (naszym domu) a nawet bardzo nieśmiało (dotychczas nie znosiłam dzieci), myślę o tem jak słodko będzie odnajdywać rysy Wacława w twarzyczce naszego synka. Oj, śmialiby się koledzy, śmiałaby się banda.

Wacław wyjechał. Kiedy rozejrzy się na miejscu, urządzi jakieś mieszkanie — ma dostać krótki urlop i przyjechać po mnie. Tak zdecydowali stryjostwo. Byłam wtedy zbyt oszołomiona i szczęśliwa, by protestować. A teraz tak żałuję, że nie uparłam się i wbrew konwenansom nie pojechałam razem z moim narzeczonym. Na pociechę haftuję sobie koszulę do wyprawy i tęsknię, tak bardzo tęsknię.

*

Jedyną moją radością są długie, kochane listy Wacława. Naogół jest smętnie. W domu jak zwykle — nudno i uroczyście, między znajomymi plotki i komentarze, jak to zwykle bywa z powodu „świetnej partji". Wyprawa. I ta wyprawa właśnie zamiast być przyjemnością jest mi utrapieniem. Nic nie wydaje mi się dość pięknem, dość wytwornem dla przyszłej żony Wacława, a tu strasznie mało mam pieniędzy. Te pieniądze to moja największa troska. Ciągle słyszę o tem, że posada przy legacji pociąga za sobą duże koszta reprezentacyjne, nie dające się pokryć z niewielkiej pensji. Wacław ma świetną przyszłość, ale żadnego majątku. Ja chwilowo tak jakbym nie miała. Z czasem, „kiedy się w tym nieszczęśliwym kraju stosunki ułożą" mogę być bogatą, ale na razie będę mężowi ciężarem, kto wie, może przeszkodą w karjerze, kulą u nogi. Gdybym tylko potrafiła na siebie zarobić. „Utalentowana i urocza małżonka sekretarza polskiej legacji" to brzmi bardzo ładnie. Ręczę, że niejedna kupcowa w Belgradzie obstalowałaby swą podobiznę przez sam snobizm. Powinnam znowu zacząć chodzić do atelier. Teraz piękny Janosik nie będzie odciągał mojej uwagi od pracy.

*

Nie mogę pojąć, nie potrafię nazwać tego co się stało. Nie potrafię myślą odtworzyć biegu wypadków... poszłam zrana do pracowni Janosika. Ucieszył się, gdy mnie zobaczył. Odmówił modelkę, bo miała mu pozować owa „inteligentna i porządna" dziewczyna, która, jak było do przewidzenia, nie potrafiła ustać kwadransa na miejscu. No i pozostał biedak na lodzie, ściślej na glinie, którą ugniata na pamięć i klnie jak tylko on potrafi. A robotę ma terminową. „Żeby to jaka prawdziwa, porządna koleżanka, toby mi postała godzinkę, ale taka panna z towarzystwa to potrafi tylko samą psuć glinę i wyobrażać sobie, że jest artystką. Zresztą takie chuchro nie na wieleby mi się przydało". Janosik zahaczył najczulszą strunę mojej próżności. O ile twarz mam zaledwie znośną, zbudowana jestem bez zarzutu i nieraz przeglądając się w lustrze żałowałam, że muszę się zawsze pokazywać z najmniej awantażownej strony. Ilekroć Janosik zachwycał się swoim koszlawym modelem, korciła mnie zawsze chęć pokazania mu jak wygląda prawdziwie piękny akt. Bez słowa weszłam za parawan i zaczęłam się rozbierać. „A wiecie, że to naprawdę poczciwie z waszej strony, wołał rozczulony Janosik, widać, że te kołtuny nie zdążyły jeszcze was zarazić swoją pruderją". Stanęłam naga na podjum. Byłam dużo bardziej zażenowana niżbym się chciała sobie samej przyznać. Janosik patrzył na mnie jakgdyby mnie poraz pierwszy w życiu zobaczył. „Ależ to cud, istny cud, powtarzał, takie ciało zakrywać głupiemi szmatami to dopiero wstyd". Zbliżył się aby mnie upozować — drżałam. „Zimno wam?" zapytał troskliwie, kładąc gorącą rękę na moich nagich plecach. Nie wiem co było dalej...

— — — — — — — — — — — — — —

Potem, kiedy nieprzytomna z rozkoszy ubierałam się gorączkowo, Janosik mruczał, że taka praca djabła warta i że mu się nigdy nie zdarzyło zapomnieć z fachowym modelem. Co teraz będzie? Nie mogę o sobie myśleć bez obrzydzenia, a co najgorsze nie wiem czy znajdę siły, by zaraz jutro tam nie wrócić. Czuję w sobie dwie odrębne istoty: jedna zamiera ze wstydu i zgrozy — a drugiej jest poprostu dobrze.

*

Sądziłam, że to co się stało to jest już najgorsze, że świadomość własnego upodlenia dalej sięgnąć nie może, a był to tylko ciężki koszmar, z którego obudziłam się, by spojrzeć w stokroć bardziej okropną rzeczywistość. Spędziłam parę dni w straszliwem przygnębieniu. Z nikim oczywiście nie mogłam mówić o tem co zaszło, a myśleć o niczem innem nie byłam w stanie. Pod pozorem migreny nie opuszczałam swego pokoju, aż samotność stała mi się nie do zniesienia a tęsknota za ramionami Janosika nie poczęła targać całą moją istotą jak potworny głód. Aż wreszcie — z głową spuszczoną, i zaciętemi zębami, jak pies na powrozie powlokłam się znów do Janosika. I wtedy stało się właśnie to najstraszniejsze, o czem boję się nawet myśleć: w wielkiem lustrze bez ramy, wiszącem na-

przeciwko drzwi, między głową Janosika i moją zobaczyłam zmienioną niedopoznania twarz Wacława. Okrzyk przerażenia zamarł mi w piersiach i zadławił jak pięść, ściskająca za gardło. W tej chwili zjawa znikła i głośno zastrzasnęły się drzwi. Nie wiem czy to wszystko trwało sekundę, czy wieki. Nie pamiętam jak i kiedy się ubrałam i znalazłam w domu. Stryjenka wyraziła żal, że musiałam minąć się z Wacławem. Przyjechał niespodzianie. Chcąc nam zrobić przyjemność, Zosieńka dała mu adres pracowni.

Powoli, jak człowiek budzący się ze snu, zaczynałam pojmować. Zapewne zostawiłam drzwi pracowni niedomknięte, dlatego nie słyszeliśmy jak wszedł. A co teraz? Boże! Boże! Boże!

List

Ukochany!

Przebacz, że śmiem Cię jeszcze tak nazywać. Ja wiem, że tego co się stało nie można ani przebaczyć, ani zapomnieć. I nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. A przecież ja Cię kocham, dziś dopiero rozumiem jak bardzo. Nie trzeba było zostawiać mnie samej... nie, nie chcę się tłumaczyć, ja sama zabiłam swoje, nasze szczęście, ja sama. I jakże mi żyć z tą świadomością, jak żyć? Jakich słów, jakich zaklęć mam użyć, byś mi uwierzył, że nigdy nie przestawałam Cię kochać, że całe moje życie dotychczasowe było oczekiwaniem na Ciebie, odtąd będzie żałobą po naszej miłości. Słuchaj, ja wiem, że nie mam dziś już prawa nazwać się Twoją żoną, ale przecie mogłabym być Twoją kochanką. Znalazłbyś dla mnie miejsce w jakimś zakątku legacji; byłabym maszynistką, kucharką, pomywaczką — czem zechcesz aby tylko móc żyć przy Tobie i patrzyć na Ciebie, pomyśl dobrze zanim mnie odpowiesz — nie czyń nic pod wpływem uniesienia. Widzisz, ja zawsze nienawidziłam patosu, śmiałam się z uroczystej przesady i teraz nawet pomimo wzruszenia ściśle ważę swoje słowa: wiem, że Twoja odpowiedź może wrócić mi życie lub zabić.

Całuję Twoje ręce
Iza.

Wycinek z gazety.

Dnia .... o godzinie .... odebrała sobie życie wystrzałem z rewolweru dwudziestopięcioletnia p. Izabela S. Przyczyna samobójstwa niewyjaśniona. Na biurku zmarłej znaleziono nierozpieczętowany list, zwrócony przez pocztę.

...nie słyszeliśmy jak wszedł...

Z TEKI HU

Pokłosie kar

— O gdybym znał!..

— Milcz, TYRANIE!

Wizyta nieznanego charlstonisty.

— Czy postarać mu swiadków? —

1927

MORYSTY

nawałowe

rysował K. Mackiewicz

O WEKSLU NIEMA MOWY.

KTO TO BĘDZIE PŁACIŁ?

TY TY, MOJE MARZENIE.....

W DZIEŃ MARCOWY I PONURY....
(PRZYJDZIE, CZY NIE PRZYJDZIE?)

Odpowiedzi grafologa

Osoby życzące mieć ocenę swego pisma winny napisać (nie przepisać coś) najmniej 3 strony na nielinjowanym papierze, oznaczyć pseudonimem lub nazwiskiem, **Dla grafologa,** dołączając 3 zł.

„Anuta" W Pani jest olbrzymi dysonans, a do tego przyczyniły się warunki życia i ogromne zamknięcie się w sobie. Duma Pani strasznie nieraz cierpi i wówczas charakter z natury łagodny — staje się cierpki, despotyczny, uparty — są wówczas odchylenia nadzwyczajne i szarpanina niezwykła. Pesymizm — jeśli jest — to nabyty chwilowo. Charakter bardzo zmienny a natura bardzo niepodległa, ale szlachetna, pełna artystycznych porywów. Ogromna skrytość, brak duchowego spokoju tem dziwniejsze, że równowaga, może nakazana sobie — ale jest. Duża oszczędność — bez przekonania i często niekonsekwentna Chce Pani od grafologa, w którym słusznie chce Pani i psychologa widzieć — recepty na odzyskanie równowagi? — Być filozofem! W słowniczku Arcta, wyrazów obcych czytamy: poprzestać na **małem,** przekładając niepodległość ducha nad dobra doczesne.

„Zmora" Grafolog przeprasza za opóźnienie nie z jego winy wynikłe. Charakter żywy, bujny, pełen fantazji i uniesień — podejrzliwy, często złośliwy i egoistyczny. Duża energja,—serca mało—słodyczy wcale. Mimo to „Zmora" potrafi nie być zmorą, bo ma bogatą naturę i dużą indywidualność.

„Symulant" pewno zna siebie dobrze — bo wcale nim nie jest! Umysł giętki, zdolności dyplomatyczne — dużo intuicji, inicjatywy. — Tego rodzaju podpis mają ludzie, wywalczający sobie życie. Natura odważna — dzielna, umiejąca dojść do celu. Równowaga duchowa i umiejętność przystosowania się do warunków.

P. R. Z. Listy wraz z oceną odesłane podług adresu.

Z. P.

III TURNIEJ ZADANIOWY

Od numeru niniejszego poczynając na łamach tego działu ukaże się 20 zadań rozmaitego typu objętych **III Turniejem Zadaniowym.** Każdemu z uczestników za rozwiązanie zadania turniejowego zalicza się pewna ilość punktów, które będą po zakończeniu turnieju zsumowane. **Nagrody turniejowe** otrzymują osoby, które zdobędą największą ilość punktów. Udziela je wydawnictwo „Naokoło Świata" proporcjonalnie do liczby rozwiązujących (nie mniej niż 1 nagroda na 25 osób). Prócz tego, za rozwiązanie dowolnego zadania z bieżącego numeru przeznacza wydawnictwo specjalne **nagrody miesięczne,** a kierownik działu **nagrody zadaniowe,** w drodze losowania.

Uwzględniając liczne życzenia Czytelników redukujemy znacznie trudności w zadaniach, na co się ostatnio uskarżano, mając na względzie liczniejszy udział amatorów zadań w turnieju.

Rozwiązujący winien podać swoje nazwisko i imię, oraz dokładne miejsce zamieszkania. Rozwiązania pseudonimowe w zasadzie są dopuszczalne, jednak z warunkiem podania nazwiska do wiadomości redakcji działu. Rozwiązań zbiorowych nie uwzględniamy.

Nadsyłać rozwiązania należy pod adresem: **Redakcja „Naokoło Świata" — Warszawa, Zgoda 12 — „Rozrywki Umysłowe".**

Termin nadsyłania rozwiązań upływa mniej więcej pięć—sześć tygodni po wyjściu zeszytu.

NAGRODY TURNIEJOWE:

Najwybitniejsze dzieła najwybitniejszych przedstawicieli literatury polskiej z **autografami** lub **własnoręcznemi dedykacjami** autorów — między innemi **Grąbczewskiego (†), Kasprowicza (†), Makuszyńskiego, Ossendowskiego, Perzyńskiego, Przybyszewskiego, Reymonta (†), Sieroszewskiego, Staffa, Tetmajera** i innych.

Zbiorowe wydania pism **Orzeszkowej, Prusa;** cykle monografij **Tretera,** wydania luksusowe.

Gratisowe prenumeraty „Tygodnika Ilustrowanego" z dodatkami i „Naokoło Świata" na rok, pół roku i kwartał.

NAGRODY MIESIĘCZNE:

Nowości beletrystyczne ostatniej doby.

NAGRODY ZADANIOWE:

Gry towarzyskie — szachy, domino, warcaby, karty, oraz wydawnictwa **Bibljoteki Groszowej** — po jednej nagrodzie przeznaczonej na rozlosowanie pomiędzy osobami, które rozwiązały chociażby jedno zadanie.

NAGRODY SPECJALNE:

przeznacza każdorazowo wydawnictwo za najpiękniej wykonane rozwiązania zadań, które prócz tego znajdą miejsce na łamach działu.

Poza tem w poddziale „Rozrywek Umysłowych" p. t. **„Laureaci naszego działu"** umieszczone zostaną podobizny nagrodzonych.

1. KRZYŻÓWKA.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Wyrazy w **Krzyżówce** czytają się w dwuch kierunkach — poziomym (od lewej strony ku prawej) i pionowym (z góry do dołu), przyczem każdy wyraz zawarty jest między zakreślonemi lub czarnemi polami, względnie między jedną z linij bocznych **Krzyżówki,** a czarnym, czy też zakreskowanym kwadratem; każdy kwadracik przeznaczony jest dla jednej litery, która może należeć do dwuch krzyżujących się słów.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1 B) Ternim szachowy. 1 I) Zdrobniałe imię żeńskie. 2 C) Nuta. 2 H) Część nogi. 3 A) Zatoka przy Amsterdamie. 3 D) Wzorzysta tkanina jedwabna. 3 K) Ptak wróblowaty. 4 A) Ogród rozkoszy. 4 F) Rzeka syberyjska. 4 J) Król węgierski. 5 B) Znak chemiczny sodu. 5 E) Niedziałka. 5 J) Rzeka we Włoszech. 6 C) Zwierzę zimno-krwiste. 6 H) Zaimek osobowy. 7 C) Utwór liryczny. 7 H) Gwałtowne falowanie wody. 8 B) Mniemana siła przyrodnicza. 8 E) Karta geograficzna. 8 J) Dopływ rzeki Ufy. 9 A) Skrócenie dla spółki. 9 F) Bóstwo egipskie. 9 J) Taniec. 10 A) Zaimek wskazujący. 10 D) Owoc. 10 K) Nuta. 11 C) Miasto we Włoszech. 11 H) Syrop. 12 B) Niewolnik. 12 I) Ryba.

Znaczenie wyrazów pionowych: A 2) Przymierze, zgoda. A 9) Liczba. B 3) Imię męskie. B 8) Organ zmysłu. C 1) Karta. C 4) Soczysty owoc. C 11) Rzeka na Łotwie. D 1) Część dzieła. D 6) Miejsce potępionych. D 10) Dopływ Renu. E 2) Nuta. E 5) Imię biblijne. E 10) Przyimek. F 3) Drapieżne zwierzę domowe. F 8) Papuga. G 3) Miasto w Finlandji. G 8) Bożek leśny. H 2) Przysłówek wskazujący (wspak). H 5) Przemówienie. H 10) Tuz. I 1) Góra w Azji Mniejszej. I 6) Litera grecka (fonetycznie). I 10) Przyprawa. J 1) Litera grecka (fonetycznie). J 4) Przyrząd. J 11) Litera łacińska (fonetycznie). K 3) Miasto w Nigerji (zach. Afryka). K 8) Trucizna. L 2) Okres czasu. L 9) Jaźwiec.

Ybby.

2. UKŁADANKA KRZYŻYKOWA.

(Za rozwiązanie 2 punkty).

Na podanym rysunku należy poprzestawiać krzyżyki w ten sposób, by litery czytane poziomo (od lewej strony ku prawej) utworzyły nazwy czterech rzek polskich, zaś litery czytane pionowo (od góry ku dołowi) utworzyły nazwy czterech miast polskich. Wszystkie nazwy — ośmioliterowe.

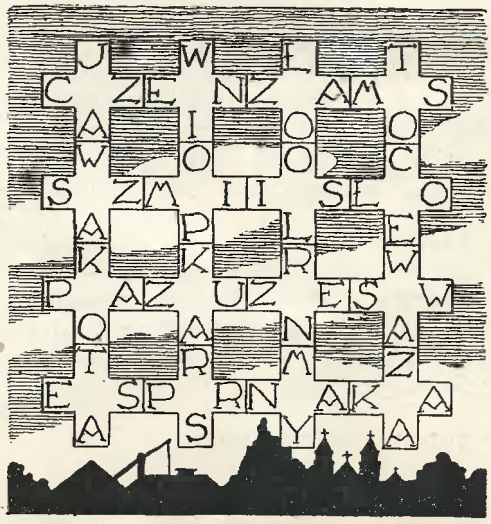

Jerzy Hermanowicz.

3. TAJEMNICZY ZAMEK.

(Za rozwiązanie 2 punkty):

Na podanym rysunku mamy dokładną odbitkę tajemniczo skonstruowanego zamku,

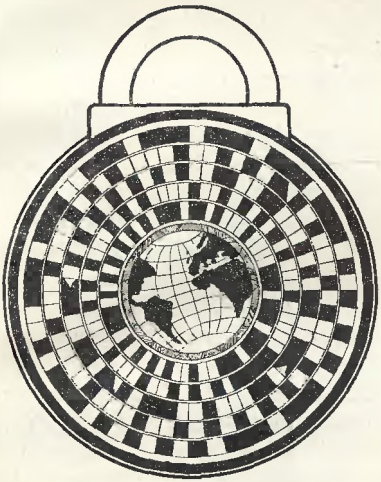

strzegącego pewną firmę polską przed podejrzanemi elementami. Proponujemy naszym Czytelnikom przez obracanie pięciu tarcz rozszyfrować zamek i odczytać nazwę firmy.

Jan Stratilato.

4. LOGOGRYF RYCERSKI.

(Za rozwiązanie 4 punkty)

Kreski i kółka zastąpić literami w ten sposób, aby otrzymać trzynaście wyrazów o podanem znaczeniu. Litery środkowe (kółka), czytane z góry do dołu, utworzą nazwisko sławnego rycerza polskiego z XV stulecia.

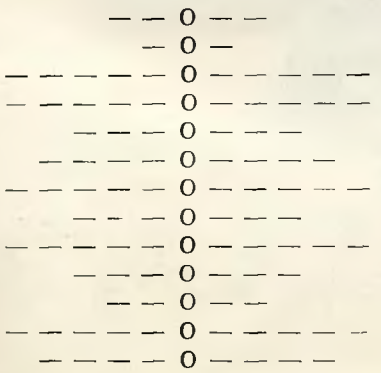

Litery: 12 A, 1 B, 8 C, 3 D, 7 E, 1 F, 1 G, 1 H, 7 I, 2 J, 3 K, 6 L, 2 Ł, 1 M, 8 N, 1 Ń, 6 O, 4 P, 4 R, 8 S, 3 T, 4 U, 3 W, 3 Y, 8 Z.

Znaczenie wyrazów: 1. Wódz i konsul rzymski. 2. Hetman litewski. 3. Uczestnik wojny 30-letniej. 4. Sławny hetman litewski. 5. Król etrusków z VI w. 6. Król polski. 7. Sławny wódz bizantyjski. 8. Prezydent St. Zjedn. Am. Półn. 9. Król polski. 10. Obrońca wolności polskiej z XVIII w. 11. Naczelnik konfederacji w Polsce z XVIII w. 12. Bohater tebański. 13. Wódz rzymski jako wzór skromności.

Wacław Torło-Maziński.

5. FIGIELEK NUTOWY.

(Za rozwiązanie 5 punktów).

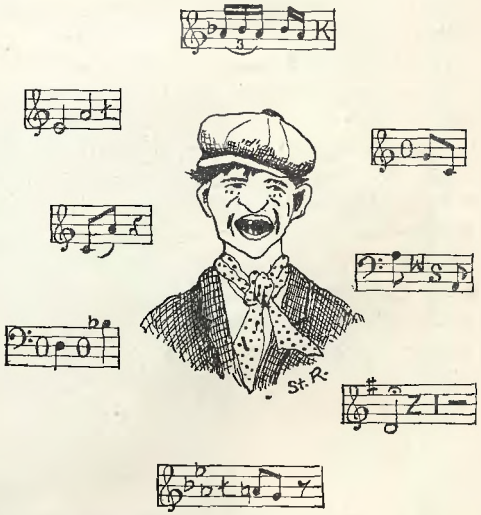

Co on śpiewa?...

Proł. Stanisław Rączka.

Termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru upływa 1 maja 1927 r.; obowiązuje data stempla pocztowego.

Najlepiej i najestetyczniej wykonane rozwiązania zadań 1, 2, 3 i 4 zostaną nagrodzone i umieszczone na łamach działu.

(111). Baranowicz F. — Konin. Załatwione!

(112). Dolaisówna J. — Wola Filipowska. Za brak rozwiązania *krzyżówki 5* w naszej tece odpowiada P. P., za P. P. — M. P., za M. P. — pan Miedziński. Co tu zawziętość losu zawiniła?.. Poprostu — galimatjas! Wielu Czytelników na to się uskarża.

(113). Drzewiecki J. — Izdebno. Reklamowanego rozwiązania nie otrzymaliśmy.

(114—117). Filek A. — Kraków, Hermanowicz J.— Wilno, prof. Rączkowa J.— Zawiercie, Stratilato J. — Sosnowiec. Kierownik działu wysłał odpowiedzi listownie; za zwłokę przeprasza, zasłaniając się złośliwą i długotrwałą grypą.

(118). Jaworski S. — Konin. O jaką *Układankę literową* Panu chodzi?

(119). Krzyżanowski J. — Warszawa. Ma Pan na swojem sumieniu 47 punktów.

(120). Kwiekowa J. — Dobrzelin. Jakżebyśmy mogli odmówić *zaśniedziałej prowincjonalce* tak nieznacznej pobłażliwości?!.

(121). Leszczyńska W. — Dołęgi. Wątpliwości Sz. Pani są nieuzasadnione.

(122). Marcinkiewicz J.—Czarnków. Terminy Turnieju wzorujemy na doświadczeniach zagranicznych pism. Co do propozycji zupełnego nieużywania w zadaniach wyrazów obcych, odpowiemy Panu ciekawym stwierdzeniem — na 250 słów, stanowiących list Pana do kierownika, znajduje się ni mniej ni więcej tylko 187 wyrazów obcych!.. *Krzyżówki* modne są na rynku jak krótkie sukienki — musimy więc je tolerować. Za życzenia dziękujemy—niektóre przyjmujemy do wiadomości, niektóre — do serca.

(123). Nowicki W.— Warszawa. Nie możemy skorzystać z *Zadania numizmatycznego* ze względu na jednostronność zainteresowania i trudności nie do pokonania. W sprawie *Fata Morgany* prosimy się zwrócić do administracji wspomnianego tygodnika — Nowy Świat 47—powołując się na nas.

(124). Sadowska J.—Ciechanów M. Życzenia Pani uwzględniamy, załączając do kompletu życzenia rekonwalescencji.

(125). inż. Salm J.— Łódź. Musieliśmy dać w Turnieju zadanie więcej akademickie, aby rozsegregować zbitą masę amatorów do ponętnych pierwszych nagród. Cel swój częściowo osiągnęliśmy, choć nie uniknęliśmy razów. W nowym jednak Turnieju uwzględniliśmy rację *vox populi* ze względów „humanitarnych" i czysto materjalnych — wydawnictwo powiększyło ilość wartościowych nagród.

(126). Świątecki L.—Bydgoszcz. Pisze Pan: *Nim się turniej skończy — rosa oczy wyje! Czy też z nas ktokolwiek do końca dożyje?..* Dożyliśmy! Widzi Pan?!.

J. K.

ERNEST NEUMANN

SP. Z O. O.

WARSZAWA, MAZOWIECKA 6

TELEFON 54-96

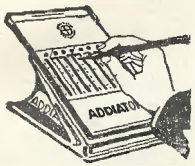

„ADDIATOR"

ARYTMOMETR DLA KAŻDEGO

DODAJE, ODEJMUJE, MNOŻY, DZIELI

Biurowy zł. 56.— Książkowy zł. 50.— Kieszonkowy zł. 22.—

PROSPEKTY NA ŻĄDANIE.

POLSKA LINJA LOTNICZA

AEROLOT S. A.

KOMUNIKACJA CODZIENNA Z WYJĄTKIEM NIEDZIEL!

SAMOLOTY KURSUJĄ DO

Lwowa, Krakowa, Gdańska, Wiednia.

ZARZĄD POLSKIEJ LINJI LOTNICZEJ

NOWY ŚWIAT 24, TEL. 9-00, 8-50

GEBETHNER i WOLFF

KSIĘGARNIA NAKŁADOWA

WARSZAWA UL. ZGODA 12

POLECAJĄ NOWOŚCI:

Baudelaire Karol. Kwiaty zła. Przełożył Bohdan Wydżga . . 15.—
Perzyński Włodzimierz. Nie było nas, był las. Powieść. Wyd. 2 6.—
Reymont Wł. St. Komedjantka. Powieść. (Pisma. Tom IX) Wyd. 5 9.—
Weyssenhoff Józef. Soból i panna. Powieść. 43—46 tysiące . 6.50

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

JUŻ UKAZAŁY SIĘ:

PIEŚŃ BEATRIX
W WIĘZIENIU ŚW. ANIOŁA

Cena zł. 3.—

MODLITWA LUKRECJI

Cena zł. 2.—

PIEŚŃ MIŁOSNA GIANIEGO

WSZYSTKIE DO SPIEWU Z TOWARZYSZENIEM FORTEPIANU

Z ŚWIETNEJ OPERY LUDOMIRA RÓŻYCKIEGO

„BEATRIX CENCI"

NAKŁAD GEBETHNERA i WOLFFA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI i S-ka, WARSZAWA